Nr. 3. **Poznań, Niedziela 20go Stycznia 1895 r.** **Rok II.**

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

—

Bankructwo haseł wolnej konkurencyi.

II.

Dotychczas mamy dwa przykłady wielkich trustów: cukrowy i naftowy, Sugar- i Standard Oil Trust. Ten ostatni zakreśla coraz szersze koło działania i znajduje się w przededniu wspanialszej jeszcze ewolucyi, gdyż, jak przebąkuje, a raczej trąbi prasa całego świata, ma utworzyć z ruskim syndykatem nowy związek wszechświatowy. Rzućmy jednakże spojrzenie na nader pouczającą przeszłość trustu. Zarodkiem, z którego powstał ten ostatni, było Standard-Oil-Company, utworzona za iniciatywą Rockefellera, jednej z najgłośniejszych dziś w Ameryce osobistści. John Rockefeller, były buchhalter jakiegoś ohioskiego Pacanowa, stał się obecnie przedmiotem podziwu świata przemysłowego Yankesów i w swoim czasie został przez Vanderbildta zaszczycony komplementem „a smart fellow“. Nie szczędząc wysiłków i nie krępując się ustawami moralnemi i prawnemi, dążył on niezmordowanie i z zapałem jedynie do tego, by całe pole przemysłu naftowego poddać władzy utworzonego przez siebie Standard-Oil-Company. W niedługim stosunkowo czasie jego starania, podstępy i intrygi zostały uwieńczone rezultatami, które przechodziły jego własne oczekiwania. Ze wściekłością i fanatyzmem, z uporem i bezwzględnością ścigał on swych wrogów i konkurentów i nie odetchnął dopóty, dopóki 90 proc. amerykańskich producentów nafty nie stanęło pod sztandarem protegowanego przez niego towarzystwa, które wraz z kilkoma innemi trustami minorum gentium utworzyło w 1882 r. Standard-Oil-Trust. Swą przemysłową kampanią zainaugurował Rockefeller właściwie wystąpieniem przeciwko drobnym współzawodnikom, których zgniótł przy pomocy dowcipnego i prostego fortelu. Występując w imieniu nieistniejącego „American-Transfer-Company“ zaczął on traktować z każdą z osobna z trzech kolei, przecinających obwód naftowy. Rokowania swe prowadził on tak zręcznie, iż wkrótce udało mu się wyłudzić od wszystkich trzech przywilej wyłącznego przewozu nafty. Usiadłszy od razu wbrew oczekiwaniu, na trzech stołkach, skorzystał on ze swej pozycyi, by uniemożliwić swym konkurentom transport towaru w miejscowościach eksploatacyi źródeł naftowych. Skutki tej taktyki nie dały długo na siebie czekać. Jęk rozpaczy wyrwał się z tysiąca piersi drobnych handlarzy i kupców, ktorzy pewnego pięknego poranku obudzili się, dzięki uprzejmości „smart fellow“ nad przepaścią bankructwa. A gdy w obozie drobnego handlu rozlegał się lament i zgrzyt zębów, Rockefeller, święcąc tryumf, zacierał ręce z zadowolenia i gotował się do walnej bitwy z otaczającymi go zewsząd współzawodnikami większej ręki. Nie zwlekając długo, starał się on stopniowo zawładnąć rurami, prowadzącymi do miast portowych, by tym sposobem podważyć egzystencyą znaczniejszych zakładów i zniszczyć ich niezależność. Za każdym zaś razem gdy zachodziła obawa, by wśród zwalczonych tytanów nie narodziła się chęć zrzucenia jarzma trustu, ten ostatni opuszczał cenę nafty poniżej kosztów produkcyi. W ostatnich czasach, tłumiąc w zarodku taki dojrzewający rokosz, trust znowu użył tego samego środka, który go wprawdzie kosztował 10 mil. dollarów. Opinia publiczna i część prasy o niezakneblowanych ustach stanęły po stronie „outsiderów“, dyssydentów, jeżeli się można tak wyrazić i uderzyła na alarm. Lecz prawodawstwo nadaremnie siliło się uciąć głowę trustowi, który rośnie w potęgę z każdym rokiem. Cleveland w mowie, wygłoszonej przy objęciu prezydentury ostro wystąpił przeciwko trustom, lecz dotychczasową działalnością w tym kierunku stwierdził tylko, iż nie zbywa mu na dobrych chęciach. Zresztą, jakeśmy widzieli, trusty są nieodzownym skutkiem nieładu i chaosu, panującym w dziedzinie wymiany wszechświatowej. Wielki przemysł, który obecnie nadaje ton na rynku międzynarodowym, stanął przed obliczem groźnego dylematu: wytępiać się wzajemnie lub łączyć. Nie trzeba mu brać za złe, iż nie chcąc coraz bardziej wyczerpywać swych sił w nieustannych bójkach i utarczkach, obrał drogę solidarności i zrobił pierwszy poważny krok na drodze monopolu, sprzeniewierzając się tym sposobem najświętszym tradycyom wolnej konkurencyi. Łatwo przewidzieć, iż wszelkie krucyaty przeciwko trustom pozostaną bez głębszych skutków. Lecz wracajmy do naszego trustu. Widząc się nieograniczonym władzcą na rynku amerykańskim, nie zadowolnił się on bynajmniej zdobytemi w ojczyźnie wawrzynami i sięgnął po władzę za ocean. I tu szczęście mu sprzyjało, gdyż wszędzie napotykał on na brak organizacyi w przemyśle. Włochy, Hiszpania, Holandya, Belgia i Anglia stały się lennemi posiadłościami trustu. Francya i Niemcy również wpadły w jego matnią. W tym ostatnim kraju poznano lisa po pazuruch, gdy za sprawą „Niemiecko-Amerykańskiego naftowego Towarzystwa“ — filii trustu — cena nafty spadła o 30 proc. Kleszczami swemi objęli Amerykanie przedewszystkiem większe miasta. Następnie zaś, dzięki rozgałęzieniu rur naftowych, zbudowaniu odpowiednich statków i wagonów, utworzeniu wzorowych biur statystycznych, które, mówiąc nawiasem, odmówiły publikacyi swych danych w 1892 r., trust wciągnął w zakres swych operacyi i najodleglejsze zakątki. Miejscowi producenci zwąchawszy się z amerykańskimi outsider'ami napadli z nienacka wspólnego wroga z przodu i z tyłu, lecz ani na włos nie zachwiali jego stanowiska. Burzycielska jego działalność postępowała ciągle naprzód. Niejedna egzystencya ekonomiczna została skoszoną, a większość tych, co pozostali przy życiu, muszą zdać się na łaskę i niełaskę amerykańskiego intruza. A publiczność, rozumie się, w to mi graj! Wszelkie kwestye ekonomiczne po za obrębem wysokich lub niskich cen są dla niej Hekubą, tembardziej, iż mścicielką krzywd niemieckich wystąpiła niedawno rosyjska nafta. Korzystając z jedynych w swoim rodzaju sielankowych stosunków najmickich, z ulg kolejowych i zmniejszonych ceł, ruska nafta zalewa coraz potężniej niemiecki rynek. Misyą Rockefellera pełnili w Rosyi Rotszyldowie, którzy mu nie ustępowali w sprycie i wykrętach, gdy szło o utorowanie drogi ruskiemu syndykatowi, który ukonstytuował się ostatecznie z inicyatywy rządu w maju r. b. Podana przez New-Jork-World i roztrąbiona na cały świat wiadomość o utworzeniu rusko-amerykańskiego syndykatu naftowego jest nie tyle fałszywą, ile przedwczesną. Jak głosi fama w osobie stugębnej prasy, toczą się już rokowania w tej sprawie i jeżeli takowe doprowadzą do pozytywnych rezultatów, będziemy świadkami doniosłego wypadku, pierwszego w historyi wszechświatowego monopolu. Nie zastanawialibyśmy się nad nim tak długo, gdyby

ten stojący obecnie na porządku dziennym monopol nie był jaskółką, zwiastującą nowe, głębsze zmiany w gospodarstwie narodowem.

H. Forszteter.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„*Gazeta Toruńska*“ zamieszcza znaną odezwę Wielkopolanek w sprawie żałoby narodowej i taką od siebie załącza uwagę:

„Jesteśmy przeciwni demonstracyjnej żałobie, ale nie pochwalamy też bynajmniej hucznych zabaw, bo wielka część naszego narodu uważa rok bieżący za rok żałoby Można się nie solidaryzować z obchodzącymi żałobę, ale nie godzi się i rozum nie pozwala drażnić ich przez urządzanie b a l ó w p u b l i c z n y c h.“

W podobnym duchu odzywa się również „*Gazeta Grudziadzka*“, publikująca bez wszelkich komentarzy odezwę lwowskiej młodzieży, opartą na uchwałach walnego zgromadzenia towarzystw galicyjskich, a zalecającą wstrzymanie się od zabaw z tańcami w roku żałoby. W tym samym numerze „Gazety Grudziądzkiej“ (Nr. 7) znajdujemy ostrą polemikę przeciw małżeństwom mieszanym, oświetloną wykrawkami z dziejów rodziny Radziwiłłów i Czartoryskich.

„*Gazeta Gdańska*“ (Nr. 7) zamieściła jędrny artykuł p. t. „Knowania spisku K. H. T.“ i oświadcza, że pod tym tytułem ogłaszać będzie wszystko, co się odnosi do ruchu antipolskiego stowarzyszenia, pragnącego Polaków według Bismarckowskiej recepty wytępić i wygładzić.

W Nr. 5 „Gazety“ czytamy w artykule „Kości rzucone“ następującą proklamacyę:

„Otóż podejmujemy myśl jego i ogłaszamy dla Prus Zachodnich bojkot na spiskowców znaku K. H. T. Społeczeństwo całe musi zerwać się do obrony, jeżeli nie chce „iść pod nóż“ jak stado owiec, jeżeli nie chce dopuścić, aby zamiar ogłodzenia nas, „zabicia“ nas, udał się spiskowcom.

Jak się wziąć do tego? Oto należy wszelkiemi siłami dochodzić nazwisk tych panów, którzy w jakikolwiek sposób biorą udział w tajnym spisku K. H. T. i przesyłać nam bezwłocznie wykazy odnośne.

Wiarusy! nadsyłajcie nam nazwiska spiskowców K. H. T., będziemy je ogłaszali, a nadto regularnie pod opaską rozsyłali te wykazy spiskowcom, aby wiedzieli, że na bojkot odpowiadamy bojkotem“.

W Nr. 6 publikuje „Gazeta Gdańska“ takie programowe poglądy w sprawie „żałoby narodowej“:

„Smutną rocznicę utraty niepodległości i wolności święcić musimy za jakąkolwiekbądź cenę — powiedzieliśmy sobie wstępując w progi 1895 roku. Że z hałaśliwych zabaw, pohulanek, bali itp. kwitujemy — to rzecz oczywista. Zanadto niestety tępieje wśród społeczeństwa naszego poczucie okrutnej krzywdy, jakiej doznaliśmy i doznajemy wciąż, poczucie nieprzedawnionych praw naszych, abyśmy nie mieli w roku bieżącym, w roku tak wstrząsających zdarzeń dziejowych oblec ducha naszego w szaty żałobne, zaznaczyć odrębność naszą, przypomnieć sobie i światu krzywdę naszą, straszne „bez Ojczyzny“, i wskazać szerokim warstwom społeczeństwa naszego dobitniej, niż kiedykolwiek cel, do którego każdy Polak, pod karą utraty prawa do chlubnego miana tego, dążyć powinien.

Nie narzucamy nikomu zdania naszego, ale oświadczamy stanowczo, że potępiamy stanowczo wszelkie objawy nadmiernej wesołości w roku bieżącym, żądamy i pragniemy, aby na każdem zebraniu, w jakimbądź celu się ono zbierze — nie przepomniano, że żyjemy w roku setnym z kolei, gdy rozszarpano Polskę naszą, aby każde posiedzenie towarzyskie rozpoczynano modlitwą za nieszczęśliwą Matkę Ojczyznę, albo stosownem wspomnieniem, aby, gdziekolwiek zejdzie się dwóch Polaków Polska była przedmiotem, do którego zwracałyby się ich myśli, słowa i czyny!...

Aby wreszcie — i niechaj te słowa wpiją się jak szpony orła białego w serce i pierś naszą — Polak każdy w pamiętnym tym roku zrywał się z pościeli i kładł się do łoża z słowy siermiężnego bohatera naszego: Oświata ludu dokona cudu.

„*Gazeta Opolska*“ zamieszcza szereg artykułów p. t. „Wypadki z czasów panowania cara Aleksandra III“. Jest to interesująca ilustracya stosunków panujących w zaborze rosyjskim.

„*Goniec Wielkopolski*“ donosi w nr. 12:

„P. Unrug z Mełpina nie przyjął na ostatnim Sejmiku powiatowym w Sremie podanej mu ręki przez Niemca, należącego do Spółki H. K. T. Innego zaś Niemca zapytał wpierw. nim go podaniem ręki zaszczycił, czy do niej czasem nie należy. Gdy się członkowie Sejmu zebrali, oświadczył p. Unrug głośno. iż należącym do Spółki H. K. T. Niemcom ręki podać nie może, że tem więcej za to ceni tych, którzy do Spółki antipolskiej nie przystępują. Zajście to sprawiło wielkie wrażenie, które powiększyło jeszcze „oświadczenie“ Adama hr. Żółtowskiego, o którym rozpisujemy się na innem miejscu.

Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, iż w podobnym przypadku cofnął swą rękę przy powitaniu z Niemcem, członkiem Spółki H. K. T. pan Michał Czarnecki z Raszew i Przybysławia.

Alea jacta est! Całe Księztwo pójdzie zgodnie ręka w rękę i pokaże, iż na własnych śmieciach nie pozwolimy siebie postęponować.“

Z okazyi wyborów w powiecie żnińsko-mogilnicko-wągrowieckim i zatwierdzonej przez komitet prowincyonalny kandydatury p. Szczanieckiego, zamieszcza „*Postęp*“ (Nr. 13) następujące uwagi:

„Przy uzupełniających wyborach ma komitet nad delegatami przewagę i wspólne głosowanie jest po prostu komedyą. Przy zwykłych wyborach, gdzie delegatów jest kilkudziesięciu, komitet podług naszego dziwnego regulaminu wyborczego, wcale nie głosuje, a przy uzupełniających wyborach, gdzie jest 2 albo 3 delegatów, komitet prowincyonalny głosuje, zawsze więc przegłosować może. Komitetowi było tego mało, chciał upozorować swoją przewagę i dopuścił do głosowania pana Guttrego, który delegatem być przestał, bo już w powiecie żnińskim nie mieszka, ale w Bydgoszczy. Choć wiedział o tem komitet prowincyonalny, bo nawet „Orędownik“ kilka dni przed zebraniem delegatów o tem pisał, przecież komitet nie zawezwał zastępcy delegata, ale pana Guttrego. Nie jest on już tam wyborcą i w miejsce jego, jeśli się nie mylimy, wybrano walmanem p. Franciszka Kozłowskiego z Juncewa. Za panem Sczanieckim agitowała cała jego rodzina, nie wyłączając pana prof. Jakowickiego; czyż potrzeba jeszcze było, ażeby najnielegalniej dopuścić p. Guttrego jako delegata?

Takiemi sztuczkami prowincyonalny komitet osłabia powagę swoją, którą powinien był przecież naporządzić po ogłoszeniu jego cyrkularza tajnego w „Przeglądzie Poznańskim“. Komitet prowincyonalny stać powinien ponad stronnictwami, tymczasem na każdym kroku zaznacza on chęć dyktatury i popierania partyi dworackiej.“

— *ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Radikalni Listi*“, organ czeskiej Omladyny, taki sąd wydaje o agitacyi cyrylo-metodyjskiej popieranej przez liberalne „Narodni Listy“, a zmierzającej do zaprowadzenia u Czechów liturgii słowiańskiej i unarodowienia Kościoła.

„Idei cyrylo-metodyjskiej przypisuje się u nas znaczenie przesadne. Nasi liberałowie zapalają się do niej; nie chodzi im o religią samą, ale o zbliżenie się do Kościoła wschodniego, do prawosławia. Lud nasz zwykł dzielić służbę Bożą na dwie części. Pierwszą wykonuje ksiądz przy ołtarzu, a lud na to tylko patrzy, w drugiej części, w której sam bierze udział, używa języka rodzinnego, modli się i śpiewa po czesku. W kościele, o ile życie religijne dotyka ludu, jest używany język czeski.

Mówi się także o słowiańskiej stronie idei cyrylo-metodyjskiej. Nie przeczymy, że stając się prawosławnymi, zbliżylibyśmy się do Rosyi, ale prawosławie i liturgia słowiańska, to rzeczy różne. Choćby u nas zaprowadzono liturgią słowiańską i dozwolono księżom się żenić, pozostaną Czesi katolikami, a Rosyanie prawosławnymi. Po jednej stronie będzie papież rzymski, po drugiej car. Jak widzimy kwestya zbliżenia się Czechów do Rosyan jest głębszą, aniżeli starosłowiański obrządek; nie da się przepaść taka wyrównać łatwo, bo Rosyanie są historyczną indywidualnością i Czesi również. Wyrównanie znaczy tyle, co zrzeczenie się swej

MARYA RODZIEWICZ.

Pięć koron.

Hetman sumował. Oblicze jego surowe pofałdowało sie głębiej, podgolone czoło schmurniało. Nad pismem, świeżo przez gońca wręczonem, pochylony siedział, tak nisko ciężką głowę chyląc, że olbrzymie wąsy, dotykały karty.

Oczy wbił w litery, a prawicę do żelaza nawykłą o stół polowy wsparł, na którym stał puhar nietknięty i leżała buława wodza.

Za makatami namiotu obozu gwar się rozlegał i wieczornych trąb hejnały.

Hetman w dłonie klasnął i nie patrząc na giermka, co wszedł, krótko rozkazał:

— Ichmość panów dowódzców na radę!

Upłynęła chwila. Za namiotem rozległ się ruch żwawszy, tupot koni, chrzęst zbroi, karabeli pobrzęki.

Weszli. Pięciu ich było. Kapały z nich blaski drogich kamieni, mieniły się zbroje, lite szaty. Każdy u wnijścia głowę odkrył i czapką się skłonił.

— Czołem, mości hetmanie!

Trzech mężów dojrzałych było, dwóch młodzieńców w kwiecie wieku i urody.

Zajęli swe miejsca, trochę zdziwieni nagłem wezwaniem, czując coś groźnego po twarzy wodza. Najstarszy wojewoda i senator, niecierpliwy głos podniósł:

— Mości panie! złe wieści ten papier zawiera?

— Złe! hetman odparł, głowę podnosząc i gorejącemi złością oczyma spozierając po nich. — Najgorsze! — powtórzył głosem rozdrażnionego lwa — pospolite ruszenie się spóźnia.

— Zostawiono nas tedy na pewną zgubę. Nieprzyjaciel o świcie tu będzie.

— Tak, a pospolite ruszenie przyjdzie wieczorem — jeżeli przyjdzie! — dodał ponuro.

— Infamia! horror! krzyknął wojewoda.

— Ile nas? — przerwał hetman.

— Sześć tysięcy.

— A tamtych?

— Trzydzieści.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Starczy im nas na godzinę!

— Oho! — młodszy jeden się wyrwał — nie połkną i przez trzy.

— A potem?

— Potem Cecora! któryś starszy bąknął.

— A kraj aż po serce odsłoniony i bez obrony ostanie. To nie Cecora! — to hańba!

— Pospolitakom hańba!

— Nam! zagrzmiał hetman podnosząc się w całej okazałości i palcem buławę wskazując — A to co? kij owczarski? A wy co? Trzoda? A tam co huczy? Ciury i chamy? Orsza będzie, nie Cecora!

Spojrzał po nich. Surowi byli, ale spokojni. Dwóch młodych powstało. Roziskrzyły się im oczy, wydęły nozdrza.

— Rozkazujcie! Dostoimy pola! rzekł wojewoda.

— Słuchajcie tedy. Człowieka trzeba, coby nic i nikogo nie miał i nie żałował. Nikogo po sobie nie zostawił, bo na stracenie pójdzie i ostatnia to będzie jego potrzeba. Kto ty jest taki?

— Ja, mości hetmanie! — młodszy się odezwał. — Sam jestem, nikogo nie mam więc też niczego się nie boję. Zguba nie straszna.

A wtem starszy młodzieniec, jak dąb silny w pancerzu na sobie, jakby tylko co z harców wracał. o krok go wyprzedził.

— Zguba ta nie straszna, ale chlubna. Ja się jej nie boję, ja jej chcę.

A chcę dla tego, żem nie sam. Zamek mam, nad którego bramą klejnot. Pięć koron zdobyli sobie na nim przodkowie. A w zamku

przeszłości, najistotniejszego przykładu samoistnej egzystencyi narodowej — a uczynimyż to kiedykolwiek?

Zaiste nigdy.

Będziemy starać się o zbliżenie z Rosyą, zachowując fundament odrębności — a tak samo rzecz się ma również w stosunku do innych Słowian. Jest to fałszem mówić o n a r o d z i e słowiańskim, nie o n a r o d a c h słowiańskich. Nie można tutaj wyrównywać różnic, ani jednoczyć, można tylko zbliżać i układać się.

Ale jest tu jeszcze kilka innych zagadnień nasuwających się każdemu. Czemu nasi słowianofile uważają ideę cyrylo-metodyjską za łącznik z resztą Słowian? Czy jako Słowianie musimy zjednoczyć się na polu religijnem? Mówiąc o wzajemnem zbliżeniu się Słowian możemy mieć na myśli tylko inteligencyą, a inteligencya pod względem wyznaniowym jest indyferentną i jako taka idei religijnych nie potrzebuje.

My nie wierzymy w stronę słowiańską idei cyrylo-metodyjskiej, — słowiańskość to rzecz daleko zawilsza, aniżeli narodowość. Nie wierzymy, aby idea ta miała w sobie siłę twórczą organiczną. Nie wierzymy twierdzeniu „Vyszehradu“, ażeby ci Słowianie, którzy język starosłowiański w liturgii zachowali, utrzymali się przy niepodległości, albowiem Bułgarzy i Serbowie popadli w niewolę tak samo jak my przy liturgii łacińskiej. Czy rzesza wielko-morawska straciła wpierw swoją liturgię starosłowiańską, czy niezawisłość polityczną? Nasz naród zbudził się do życia narodowego, choć mamy obrząd łaciński; i to głównie przy współdziałaniu duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Widzimy często, że potęga państwa nie zależy od jedności religijnej. Jest potęga w religii, ale ją okazuje tylko naród wierzący, nie naród dla spraw religijnych obojętny, jak nasz czeski.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“, organ Słowian południowych, wydawany w Tryeście w języku włoskim, pisze o stosunkach narodowościowych w temże mieście:

„*Nulla dies sine linea*“. Magistrat miasta Tryestu nie opuszcza jednego posiedzenia bez protestu przeciw Słowianom, bez wyrażenia obawy z powodu postępu idei narodowej wśród Chorwato-Słowińców.

„Tym razem przemawiał *pater patriae* pan d'Angeli, cytując Taylleranda „„*Surtout messieurs, ne pas trop de zèle*““ zalecając atoli poważne traktowanie grożącego niebezpieczeństwa. O co się rozchodzi? Oto zarząd parafialny kościoła di Santo Antonio Nuovo rozporządził, aby się kazania odbywały również w języku słowińskim. Mówca wystósował memoryał do Watykanu przeciw temu aktowi gwałtu, popełnionemu przez zarząd parafialny. Zastrzegał się, iż jako liberał nic przeciw narodowości żadnej nie ma, atoli obojętność wobec obowiązków patryotycznych zarządu przechodzi w jego oczach wszelkie pojęcie. Mówca zażądał interwencyi policyi wobec rozporządzenia władzy duchownej i domaga się, aby władza duchowna ślepem była narzędziem w ręku Włochów.

„Zapytujemy się, czy władza duchowna przekroczyła swoje atrybucye? Czy nie ma ona kompetencyi roztrzygania, co leży w interesie wiernych? Tylko wzgląd na dobro duchowe, nie polityka, może tutaj decydować. Panowie radni, zaślepieni namiętnościami politycznemi, upatrują akt wyzwania w rozporządzeniu rozumnem i naturalnem. Według relacyi dziennika „Indipendente“ miał d'Angeli oświadczyć, że rozporządzenie to może się stać powodem rozruchów w mieście.“

* * *

Dalmatyński „*Narodni List*“ pisze z powodu protestów, mnożących się ze strony włoskiej przeciw zaprowadzeniu dwujęzykowych tablic na budynkach rządowych w Istryi:

„Dla wykazania bezzasadności twierdzeń prasy włoskiej, że uwzględnienie języka słowinskiego jest rzeczą zbyteczną, wystarczy przytocze następujące dane statystyczne: W mieście Koparze (Capodistria) żyje 14,918 Włochów, a 23,042 Chorwato-Słowińców, w Rovigno jest Włochów 11,41, Chorwatów 3,081, w Buzecie (Pinguente) 15,690 Chorwatów, Włochów 990, w Porzeczu (Parenzo) 7,541 Włochów, 4592 Chorwatów itd.

Statystykę zestawiały władze rządowe reprezentowane przez samych Włochów, którzy z pewnością omyłki na rzecz naszej narodowości nie uczynili. Cyfry te świadczą najwymowniej o arogancyi włoskiej mniejszości. Według ustaw austryackich w krajach z ludnością mięszaną mają być wszelkie napisy w obu językach krajowych, jeżeli tego u nas dotąd nie było, działo się to bezprawnie.“

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(*Notatki*).

I.

Pod tym tytułem pragniemy zapoznawać czytelników peryjodycznie ze zjawiskami ekonomicznemi doby bieżącej. Przemiany odbywają się ciągle we wzajemnym stosunku klas społecznych, nowe formy jakie przybiera materyjalna podstawa bytu społecznego zasługują na uwagę nietylko w wydatnych punktach, lecz nawet w drobnych faktach. Budowa wielkiej drogi żelaznej, zaprowadzenie obowiązkowego zabezpieczenia robotników, zawiązanie wielkiego kartelu dla pewnej gałęzi przemysłu, świadczą o tem, że w tym lub owym kierunku stosunki dosięgły pewnego stopnia dojrzałości, lub że w tym lub owym kierunku wkroczono na nowe tory. Nie należy wszakże tego zapominać, że tego rodzaju fakty są skutkiem jedynie całego szeregu drobnych fakcików, mających pozornie znaczenie tylko lokalne, ale będących w rzeczy samej ukrytemi sprężynami wielkich akcyi dokonanych przez wielkich tego świata, i które jako takie krople sączące kamień zasługują na baczną uwagę. Ośmielamy się twierdzić, że dla historyka przyszłości fakt, że trady uniony oświadczyły się za koniecznością państwowego unormowania dnia roboczego będzie daleko ważniejszym objawem, niż zamach stanu królika serbskiego lub awantury „rewolucyjne“ w południowej Ameryce.

— Fakty jakie przesuwają się przed nami nie są zgodne, nie wykazują rozwoju w jednym kierunku, przeciwnie, mamy przed sobą chaotyczną walkę sprzecznych interesów. To też bacznej trzeba uwagi, żeby w tym zamęcie krzyżujących się linii sił określić kierunek wypadkowej. Zadanie to trudne, tem niemniej przecież wymagające rozwiązania od każdego, kto zechce zdawać sobie jasno sprawę położenia. Zadanie tem trudniejsze, że mamy do czynienia z epoką gwałtownych wstrząśnień, której analogon możemy znaleść chyba w dobie przejścia od wieków średnich do nowych. Tam i tu przeżyły się stare formy wytworności i powstają nowe. Tam kończył się okres gospodarki

---

synaczka mam. Tedy mi się należy klejnotowi chlubę, a synaczkowi przykład dać.

— Ergo! ten mówi jak Rzymianin! — odezwał się wojewoda.

Młodzieniec ku towarzyszowi się zwrócił i z lekka głowę skłaniając dalej mówił:

— Nie ubliżam fantazyi i odwadze Waszmości, panie bracie. Ale kiedy ginąć trzeba, niech ginie prędzej ten, który wie, że śmierć swoję zostawi dzieciom w spuściźnie. Pozwólcie tedy, panie bracie, by synalek mój wcześnie widział, co od niego się Rzeczypospolitej należy jako i ja od rodzica swego wiem.

— Mości panie, kto dzieci ma, łacno może o nich pomyślawszy, siebie w ogniu pożałować.

— Mości panie, kto nikogo nie ma, łacniej jeszcze tył podaje, bo go niczyje wspomnienie do wytrwania nie zagrzewa.

— Wara! ostrych słów przy mnie! — hetman głos podniósł. — To rada, nie sejmik! Wybiorę ja wśród was, a kogo wybiorę, ten natychmiast na koń siądzie, tysiąc ludzi wybierze, podniesie i zabiegnie drogę wrogowi przy rzece, ztąd o mil trzy.

Pospolite ruszenie nadejdzie wieczorem. Wtedy wskok na pomoc runiemy. Dotychczas trzeba wroga zabawiać.

— Tysiąc bawiących na trzydzieści tysięcy zabawianych. Trudno gier dobrać na tyle godzin — mruknął jeden ze starszych, którego zawsze trzymały się krotochwile.

Młodemu ochotnikowi ta sama myśl przyszła, bo niespokojnie wtrącił:

— A gdy nas wcześniej zmiotą i położą?

— Tedy chluby nie będzie wam!

— Ja zabawię — zawołał starszy ochotnik.

Hetman ku pozostałej starszyźnie się zwrócił.

— My tymczasem tabor zbijem i okopiemy się, ile będzie można a gońców ku pospolitakom kopniem. Przybędą — ruszymy ku tym — nie przybędą — wytrzymamy dłużej w taborze. Obejrzał się na obraz święty, zdobiący tylną ścianę namiotu.

— Daj Boże przedwieczny, by się nie spóźnili teraz.

— Co powiadacie na postanowienie moje? — spytał starszyzny.

— Że słuszne jest i wykonamy. Któryż z nich pójdzie na ofiarę?

Stary wódz popatrzał na młodzieńców.

Pierwszego, co się wyrwał, sam bojów uczył i przy boku swoim lubił, wielkie nadzieje w nim mając i wiarę. Drugiemu — owego synaka do chrztu podawał — krewniakiem był.

Zawachał się trochę, nasłuchując, czy wbrew złym wieściom, kotłów pospolitego ruszenia nie słychać, — ale w obozie było cicho, bo noc sen już słała.

Wtedy stary wódz żal swój zmógł, rękę podniósł i piersi starszego dotknął.

— Jazłowiecki pójdzie! — uroczyście wymówił.

Młodzieniec do kolan mu się skłonił, towarzyszów skinieniem pożegnał i wyszedł. Łuna głębokiego zapału pokryła mu twarz. Hetman teraz młodszego piersi dotknął.

— A ty, mości Jasieniecki, garść ludzi weźmiesz i ku spóźniającym się skoczysz.

A nie szczędź koni, ani prośby, gdy ich spotkasz. Drogie chwile to — na wagę rycerskiej krwi.

. . . .

I znowu hetman został sam i sumował. I słyszał jak zagrały trąby do pochodu, rozległy się hasła i okrzyki, a potem tysiąc głosów jednę pieśń podjęło i poniosło z sobą, coraz słabnącą w dali, zatartą wreszcie czwału ciężkiego odgłosem.

I wiedział, że ludzi tych i ich pieśni już więcej nigdy nie posłyszy.

A nie wiele potem oderwała się od obozu jeszcze garstka jeźdźców i pognała wstecz kraju do swoich po pomoc.

Pozostali nie spoczęli tej nocy. Zbijali tabor, sypali szańce, ryli jak krety ziemię dokoła. Gdy zorza wstała, obóz zjeżony, wozami ostawiony, kilka swych armat naprzód wytknął, i czekał jak zwierz schylony w swej jamie natarcia albo wybawienia.

kapitalistycznej i przez dwa wieki przejściowe, wśród ciągłych wstrząśnień formował się kapitalistyczny ustrój. Tu kapitalizm rozwinięty do maksimum musi wytworzyć siłą konieczności nowe formy, gdyż siły, które powołał do życia, nie mogą znaleść ujścia w starem środowisku. Stare miechy nie są w stanie utrzymać nowego wina. Czy szybko się skończy, czy długo trwać będzie ten okres przejściowy? Kto czuje ducha proroczego niech odpowiada. Jakim będzie rezultat, jak przedstawi się nowa forma? Nie wiemy, nie rozstrzygamy. „Nie smażymy recept dla garkuchni przyszłości.“

— Spór czy to przekształcanie się formy ekonomicznej jest zjawiskiem podstawowem; a walki współczesne na polu stosunków prawnych, politycznych, narodowych i religijnych wtórnem, czy też oba szeregi faktów są współrzędne nie tu miejsce rozstrzygać. Dosyć, że mamy do czynienia z grupą faktów dostatecznie ważnych, żeby śledzić je nawet w objawach pozornie małoważnych.

* * *

— Jedną z palących kwestyi doby obecnej jest przymusowe bezrobocie. Massa ludzi stale prawie bez zajęcia we wszystkich centrach przemysłowych i coraz bardziej naglącą staje się potrzeba zapobiegania o ile sił starczy tej klęsce. Wprawdzie wszelkie usiłowania w tym kierunku nie mogą zmienić zasadniczo położenia. Tak zwana armia rezerwowa jest koniecznym wynikiem systemu fabryczno-kapitalistycznej i zupełne jej usunięcie jest niedościgłem marzeniem dopóki system ten istnieje, jednakże można i należy usuwać zło o ile się da. Jednym ze środków dążących do tego celu jest pośrednictwo w wynajdywaniu zajęć. Ztąd usiłowanie powołania do życia tak zwanych biur stręczeń mogących działać na możliwie szerokiej podstawie. Pierwszym usiłowaniem w tym kierunku było założenie paryzkiej „giełdy pracy“. — W ostatnim miesiącu spotykamy kilka przykładów dążenia do tego samego celu. W Londynie tak zwani „ojcowie biednych“, t. j. opiekunowie wyznaczeni przez urzędy dobroczynności, postanowili dnia 16 listopada powołać do życia „londyński syndykat stręczenia pracy“. Komisya zwołana specyjalnie w tym celu ma zbierać wiadomości o wszelkich wakujących miejscach dla robotników i udzielać bezpłatnie poszukującym pracy wskazówek. Jeżeli inaczej nie można będzie znaleść zajęcia, należy z funduszy państwowych budować fabryki i zakładać fermy w pobliżu Londynu, w których praca byłaby organizowaną jak w stowarzyszeniach współdzielczych. Jest to projekt sięgający daleko i nie sądzimy, żeby „ojcowie biednych“ uzyskali łatwo potrzebne fundusze od parlamentu. Nie należy jednakże zapominać, że stowarzyszenia dobroczynności w Anglii rozporządzają olbrzymiemi sumami i projekt da się częściowo urzeczywistnić nawet bez pomocy państwa.

— Podobne też biuro stręczeń urządzono niedawno w Liverpool. Tam czasowe bezrobocia są wprost koniecznością wobec niejednostajności zajęć przy dokach. Jakkolwiek zarobki są stosunkowo wysokie, każdy robotnik jest narażony na niepewność jutra. Ankieta urządzona na miejscu wykazała, że przymusowa bezczynność przez całe tygodnie jest rzeczą stałą dla $^5/_6$ robotników. Wobec takiego stanu biuro stręczeń nie wielką przynosi ulgę.

— Te wysiłki w Anglii są rzeczą specyjalnych korporacyi i to charakteryzuje tamtejsze stosunki. Zasada działalności państwowej zawsze jest jeszcze mniej popularną. Inaczej w demokratycznej Szwajcaryi, tu kanton S. Gallen i gmina przemysłowego miasta Wintertur postanowiły uchwałą kantonalną resp. gminną organizacyję biura stręczeń. W Wintertur posunięto się nawet tak dalece, że zabroniono świeżo przybywającym robotnikom poszukiwać zatrudnienia na własną rękę i zmuszono chlebodawców do zawiadomienia biura stręczeń o zapotrzebowaniu rąk roboczych. W St. Gallen wraz z biurem stręczeń postanowiono ubezpieczanie robotników na przypadek pozbawienia pracy. Każda gmina ma prawo utworzyć kasę asekuracyjną, do której z obowiązku należeć musi każdy robotnik zarabiający mniej niż franków 5 dziennie. Składka miesięczna nie powinna przewyższać 30 centymów. Wsparcie wrazie pozbawienia pracy nie z winy robotnika wynosić będzie 1 fr. i może być wydawane najwyżej przez 60 dni. — Jestto pierwsza próba takiego zabezpieczenia, lecz sądzimy, że prędzej czy później ubezpieczenie ochronne robotników posunie się wogóle w tym kierunku. — Dotąd w St. Gallen nowe prawo weszło w życie w dwóch gminach, którym państwo przekazało 5000 franków jako kapitał żelazny nowych kas.

— Niebawem także ma nastąpić reorganizacyja biur stręczeń w Berlinie, które dotąd istniały niezależne w kilku dzielnicach. — Projekt podobny, lecz biura obejmującego całe państwo opracowywa się obecnie w Belgii. Tam jednakże jest planowane zarazem biuro do zbierania wszelkich danych w sprawach dotyczących prawodawstwa fabrycznego. Podobne biuro pod nazwą „Arbeiter Sekrätarjat“ posiada dotąd jedynie Szwajcarya. Pozostaje ono pod kontrolą zjednoczonych stowarzyszeń robotniczych i jest subwencyjonowane przez rząd. Sekretarzem jest znany na polu statystyki pan Szeulich, pod kierunkiem którego wydano już kilka prac cennych, będących podstawą dla prawodawstwa fabrycznego w tym kraju. — Przed miesiącem postanowiono również powołać do życia tego rodzaju biuro statystyczno-informacyjnego w Hiszpanii.

— Biura podobne stanowczo mogą oddać niepomierne zasługi, trzeba jednakże dopełnienia dwóch warunków: 1) Żeby nie były prowadzone zbyt biurokratycznie i dla tego urzędnicy powinni być w ciągłej styczności z ludnością robotniczą, gdyż tylko wtedy są w stanie odczuć żywe potrzeby tych, dla których pracują. Z tego względu organizacyję przyjętą w Szwajcaryi można uważać za wzorową. 2) Żeby ludzie powołani do tej czynności byli w stanie sprostać zadaniu.

— Jak rozległą może być taka praca, wskazuje czynność angielskiej „royal comission of labour“. Komisyja ta wyznaczona ad hoc przez rząd, do zbadania kwestyi robotniczej w całej rozciągłości pracowała przez trzy lata i złożyła owoce swych badań w dziele obejmującem 168 tomów olbrzymich.

Pozwalamy sobie przytoczyć tu kilka punktów ze sprawozdania złożonego przez część tej komisyi. Wydano bowiem dwa sprawozdania od większości i od mniejszości. Sprawozdanie większości stoi bezwarunkowo na stanowisku liberalnej partyi, (znać zasady starego Ricardo zawsze jeszcze dominują w kraju perkalu i węgla) sprawozdanie mniejszości żąda interwencyi państwa i potrzebę tejże motywuje następującemi danemi dostarczonemi przez wspólną pracę, którym bynajmniej nie zaprzecza większość: 32 procent ludności zarabiają mniej niż jednę gwineę tygodniowo co uznano za minimum dla utrzymania rodziny. Prawie 2 i pół miliona Aglików mieszka w mieszkaniach zbyt przepełnionych. Jedna trzecia starców, którzy dosięgają roku 70 pobiera jałmużnę. W Londynie jedna szósta część ludności umiera w przytułkach dla biednych i szpitalach przy tychże. W bardzo licznych okręgach rólniczych, każdego najmitę należy uważać za nędzarza. Sprawozdanie dodaje lakonicznie: nic to dziwnego, bo ludność w Anglii wypłaca rocznie 500 milionów renty gruntowej i kopalń i dywidendy.

— Kwestyją ubezpieczenia robotników zajmował się niedawno kongres zwołany w tym celu w Medjolanie. Podczas gdy na kongresie podobnym w roku 1891 w Bernie głosy były rozstrzelone co do konieczności obowiązkowego ubezpieczenia przez państwo, obecnie pod tym względem panowała jednozgodność. Kongres

---

I tak leżał do południa, cały w słuch i wzrok zmieniony.

— Zabawia Jazłowiecki! — mówiono.

— Może już, Jasieniecki z dziczą wraca!

O południu hetman na szańce wstąpił i tam ku rzece wzrok sokoli wytężył. Cicho było i pusto. Odgłosy walki i konania tych dzielnych nie dochodziły jego uszu, ale on w sercu je słyszał i jak chmura był ponury.

Co chwilę ich mniej, dogasają, — może już wróg po trupach konie rozpuścił i leci zwycięzki.

A odsieczy — nie ma — może nie będzie, i teraz na tę ostatnią garstkę przychodzi kolej zguby — i serce kraju odkryte.

— Mości panie, odezwał się stary wojewoda, który niepostrzenie obok niego stanął. Nasi tam bieżą — niedobitki, czy już przodowniki Szweda.

— Ten obłok? To kurz?

— To jezdni. Raz, dwa, trzy — pięciu! Naszych to reszta z owej zabawy.

— Skończone tedy. W skok i tamci będą.

— Szykować muszkiety i działa.

Zawrzało w obozie. Hetman wciąż patrzał na tę kupkę cwałem lecącą. Wyglądali jak z rozbitego stada żurawi — ostatni.

Dopadli. Jak głos mógł sięgnąć, hetman ku nim krzyknął:

— Na karkach wrogów niesiecie?

Pierwszy towarzysz, ochrypły, ranny, do człowieka niepodobny, konia w ziemię wparł.

— Wasza miłość, wasza miłość... Tam Jazłowiecki z ostatnią setką w ogniu. Ale tamci już się chwieją, podają kroku. Jazłowiecki skoczył jak piorun. Żeby go wesprzeć — nasza będzie — nasza. Tylko w lot, nim się obejrzą, że więcej nie ma i ducha zbiorą! Wasza miłość... Jeszcze tak mówił, a już hetman, jak stał, na konia dosiadł, i głosem do gromu podobnym cały obóz objął.

— Na koń i w cwał!

Ale zachęty nie było potrzeba. Wojewoda jak młodzik biegł, kotły uderzyły wściekle, jeden głos pobiegł z ust do ust:

— Na nich! Jazłowickiego wesprzeć! W konie! Porwali się, podnieśli i sunęli szalonym pędem. Tabor został już martwy. Zostały juki i bogactwa. Rzucili wszystko. Nawet pachołkowie i ciury biegli, nawet skrwawione owe gońce bez sił.

Bachmat hetmański wiódł, skrzydła mu u kopyt rosły. Pęd tamował oddechy.

Dopadli owego placu zabawy.

Ćmy wrogów nie rachowali, przez wały trupów szli.

A szli tam, gdzie w mrowiu dziesięćkroć liczniejszem garstka z owej ostatniej setki miotała się, w ostatnich wysiłkach.

Hetman ujrzał jeszcze białe pióra hełmu Jazłowieckiego i miecz jego w żywej dłoni.

Chorągwie wpadły wściekle, siekąc i tratując.

Co krok były bliżej.

Oślepli i zapamiętali nic już nie widzieli. Czuli tylko, że opór słabł, ustępował, że siekli już sami tylko, że gonili.

Wtedy rozpuścili znowu rumaki i poszli na karki wrogów, daleko za sobą zostawiając pobojowisko, działa, namioty trzydziestu tysięcy.

I w pył rozbita — na cztery wiatry poszła ta armia, co serce kraju chciała zagarnąć. Gdy się hetman opamiętał, chorągwie już wracały z pościgu i „Wiwat trymfator“ powtarzały echa stokrotnie.

Wtedy on się zwrócił, wjechał między trupy, między krwi kałuże i orlem okiem się razejrzawszy, stanął w miejscu, gdzie wał poległych spoczywał, w koło znaku.

Chorąży nie żył, ale o towarzyszy trupy wsparty wałem ciał obłożony stał, znak jeszcze dzierżąc. A obok niego z rozrąbaną czaszką, koniem przywalony, obryzgauy posoką, leżał Jazłowiecki.

Tedy hetman czapkę swą z czaplemi piórami zdjął i pokłon mu oddał, a ci, co za nim jechali, też głowy odkryli i umilkli, uszanowaniem zdjęci.

A stary wódz zabitego im buławą wskazał.

— Tenci tu tryumfator jest! — rzekł — i gdybym królewską moc miał, do klejnotu jego

odbył się 1—6 października i liczył 500 członków ze wszystkich krajów.

— Zaznaczamy też, że nowe prawo rumuńskie górnicze, obejmuje przepisy przymusowego zabezpieczenia robotników zajętych w kopalniach.

J. B. M.

LITERATURA I SZTUKA.

ROBERT STEVENSON.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Zdala od ojczystej Szkocyi, na egzotycznej wyspie australskiej Samoa, zgasł przedwcześnie ulubieniec szerokich kół, poeta Robert Ludwig Stevenson, a zwłoki jego pogrzebano na szczycie góry Pala. Wkrótce wzniesie się tam kolumna, aby przypominać marynarzom o miejscu spoczynku poety, który śpiewał dziatwie, zarówno jak ojcom.

Stevenson urodzony w Edynburgu w r. 50 pracował zrazu w odziedziczonej po ojcu firmie inżynierskiej. Wkrótce jednak, idąc za głosem powołania, wstąpił na miejscowy uniwersytet, gdzie uzyskał kwalifikacye na adwokata. Zawodowi prawniczemu wszakże nie poświęcił się, bo zaraz pierwsza jego książka zdobyła ogólny poklask i o karyerze jego zadecydowała. Pod koniec życia, wskutek słabego zdrowia opuścił Anglią i na ziemi antypodów ostatnie przeżył lata. W ogłoszonym świeżo przedziwnie melodyjnym wierszu, zazdrości wiośnie, która „ocknie kwiaty do nowego życia na rodzinnych łąkach“, zazdrości ptakom świergocącym na szkockich chatach podczas gdy „on poszedł hen daleko i przepadł na zawsze“.

Serya essayów jego p. t. „Virginibus puerisque“ zwróciła na niego oczy społeczności, książka, którą pewien wybitny krytyk charakteryzuje jako „najlepszą lekturę dla wypoczywających w hamaku“. Lekka, przyjemna i potoczysta lektura ta nie uroniła nic — mimo radykalne zmiany zaszłe w potrzebach duchowych i upodobaniach dzisiejszych — z swej świeżości, naiwnego wdzięku i wonnej jak kwiat radości życia, która wieje z każdej kartki. Czemu należy przypisać, że pozytywne umysły młodej generacyi, wychowanej na realistach i psychologach, bezkrytycznie słuchają melodyi jego głosu? Bo to nie tony dobrze skonstruowanej katarynki, lecz tony płynące z głębi serca. Publiczność, cobądź o niej da się powiedzieć, rozróżnia instynktownie pomiędzy pozą i fabrykacyą a szczerem uczuciem. Potęga fantazyi i zalety jego pióra uwydatniają się w pełnem świetle w „Nowych nocach arabskich“ i „Wyspie skarbów“, które to książki mogą współzawodniczyć z pismami Juliusza Verne. Za arcydzieło jego uchodzi późniejsza powieść p. t. „Kradzież dziecka“ (Kidnapped), a bohater jej Alan Breck za najlepszą kreacyę. Tu i owdzie widoczne są reminiscencye z Waltera Scotta, Dumasa i Poe'go, lecz w rezultacie jest to zawsze prawdziwy Stevenson.

Jako poeta zasłynął S. zbiorem p. t. „Dziecięcy ogród wierszy“, które szczerze i trafnie odzwierciadlają fantazye młodych umysłów. Wiersze te, w swym rodzaju jedyne, zdają się być wiernie przechowanemi wspomnieniami z lat dziecinnych. Bardzo wielu autorów usiłuje odmalować dzieci, jak n, p. Halévy, ale wychodzą one z pod ich piór sztuczne, przemądrzałe, bohaterskie, jednem słowem nie dziecinne. Każdy przechował wspomnienia z złotej epoki, kiedy życie wydaje się zabawą. Któż jednak pokusiłby się o wskazanie motywów akcyi malców, które są zagadkowemi dla starszych, a cóż dopiero o pochwycenie ich na papierze? Stevenson posiadał wrodzony dar odgadywania pobudek i wnikania w tajniki jaźni dziecięcych, a odczytując jego strofy, przekonuje się czytelnik, że ów wiek złoty nie był snem, lecz rzeczywistością.

Charaktery kobiece i miłość nie grają w jego pismach żadnej roli. Raz tylko pokusił się o odtworzenie postaci niewieścich w powieści napisanej na wzór i pod wpływem „autora autorów“ — Jerzego Meredhita, lecz niefortunnie. Natomiast nowelki jego jak „Dr. Jekyll i Mr. Hyde“ lub „Markheim“ znajdą zawsze chętnych czytelników.

Stevenson nie był z tych pisarzy, którzy lubują się w kwestyach spornych, badają dusze ludzkie i zanurzają się w labirynt myśli. Był to śpiewak, który melodyjnością i rytmem kazał zapominać o prozie życia, cieszyć widokiem świata i wysnuwać fantastyczne obrazy. Każdy czytelnik zawdzięcza mu wiele miłych chwil, ztąd żal po nim był ogólny i niezdawkowy. Literatura traci w nim instynktownego psychologa dusz dziecięcych, umysł obdarzony niedoścignioną, jak wichry, fantazyą, a mianowicie świetnego mistrza stylu.

M. W.

Najnowsze dzieło Ibsena.

(Dokończenie.)

Allmers, usposobienia niezdecydowanego, po odjeździe Asty z Borgheimem, jest zachwianym w swem postanowieniu porzucenia Rity, bo „może mimo wszystko, prawo ewolucyi zwiąże ich utrwali“.

W toku dyalogu pomiędzy opuszczonemi małżonkami wplątał autor pozornie epizodyczne opowiadanie wrażeń, jakie wyniósł Allmers z swej wycieczki w góry. Jest to jeden z najpiękniejszych ustępów, który tłomacz oddał z harmonią właściwą prozie dramaturga.

ALLMERS: Byłem samotny, ot tam — w sercu olbrzymich szczytów i tam zastąpił mi drogę szeroki, ponury staw górski, który wypadło mi przebyć. Tymczasem — nie mogłem, bo — ani nie było łodzi, ani człowieka wokoło.

RITA: I cóż dalej?

ALLMERS: Potem bez przewodnika udałem się do ubocznej doliny w przekonaniu, że tą drogą uda mi się przedostać przez wyżyny, pomiędzy stronnościami, a potem znowu na dół na drugą stronę stawu.

RITA: O! z pewnością zmyliłeś drogę.

ALLMERS: Tak jest, zmyliłem kierunek, bo nie było ani ścieżki, ani gościńca. I cały dzień szedłem i całą następną noc. W końcu sądziłem, że nie ujrzę więcej twarzy ludzkiej.

RITA. I że nie powrócisz do domu? W tym razie jestem pewną, że myśli twe były tu przy nas.

ALLMERS. Nie bynajmniej.

RITA. Nie?

ALLMERS. Nie. Było to dziwnem. Zarówno ty jak Eyolf, zdało mi się byliście daleko, hen daleko odemnie — i niemniej Asta.

RITA. O czem tedy myślałeś?

ALLMERS. Nie myślałem. Wlokłem się pomiędzy przepaściami, a dusza moja radowała się spokojem i wspaniałością śmierci.

RITA (zrywając się). O! nie mów takich określeń o takiej okropnej rzeczy.

ALLMERS. Wcale tego nie odczuwałem. Nie miałem najmniejszej obawy, bo chociaż tu

---

dodałbym dzisiaj jednę koronę. A takoż mu ją Bóg doda — niebieską.

Skoczyli rycerze i bohatera na rękach podnieśli. Chorągwie się chyliły przed nim, a starszyzna pochód zamykała.

Hetman na jednego z rotmistrzów skinął.

— Weźmiesz waszmość znak ten, i miecz, i hełm. Synaczka to jego spuścizna i ojcowski testament. Takci ten rycerz chciał i stanie się.

A gdy to mówił, posłyszał okrzyki:

— Jasieniecki wraca. Odsiecz! odsiecz!

Jasieniecki wracał, ale sam. Z daleka zrozumiał rzecz całą — dojrzał pochód. Zwolnił kroku i stępo do wodza się zbliżył.

— Wasza miłość! Pospolite ruszenie w niezgodzie. Chyba wasze słowo tam pomoże. Wróciłem z niczem! — rzekł ponuro.

— Tedy Bogu chwała, że między chwastami tej ziemi zasiał nasienie takich, jak ten bohater, bo bez nich nie stałoby Rzeczypospolitej! — odparł hetman z zapałem.

JAROGNIEW.

BOŻA MĘKA.

(*Dokończenie.*)

— Staśka, mogłabyś sa opiąć powój na Bożej męce. Dawniej zawsze bywało stroiłaś ją, a teraz o chłopcach myślisz pono tylko, ino, żeby cię Bóg nie pokarał zato. —

Staśka właśnie ustawiła kubły z wodą w sieni i postawiła szuńdy w kącie. Wyszedłszy z chaty, spojrzała na krzyż.

— Co ma pokarać, aco to grzech kochanie? — spytała, splatajac ręce w tyle głowy i jakby przeciągając ciało swe pełne.

— Nie grzech kochanie, ale grzech o Chrystusie zaboczyć.

— Taj ja nie zaboczyła, ino mi tak nijak.

Usiadła na ławce pod ścianą chaty i, trzymając tak ręce nad głową, wpatrzyła się niebieskiemi oczyma daleko.

Jušci matuś nie kłamali, dawniej, jak sobotni nadszedł wieczór, szła uzbierać modraków, uwiła z nich koronki i po jednej zawiesiła na każdem ramieniu krzyża, jednę pod nogami Chrystusa i jednę nad głową Jego. Do każdej koronki przyczepiła wstążki kraśne, wycięte z papieru żółtego czy czerwonego.

Gdy wiatr oderwał łodygę powoju od krzyża, przyczepiała ją troskliwie i tak obwijała zieleń wkoło, aby nigdzie drzewo nie przeglądało. Gdy skwar był wielki, i deszcz długo nie padał, wtedy skrapiała powój, aby nie usechł tylko, niech Pan Bóg broni. Jušci dawniej tak było; niejeden przechodzeń, ściągając wtedy czapkę przed Bożą męką, przystanął chwilę, dziwował się okrutnie i mówił:

— Dziewucha ci do tańca i do pacierza, Cie, — Boże daj jej chłopa dobrego, bo co wartna to wartna.

Ale teraz, od miesiąca już nie stroiła krzyża. Teraz gdy mogła, usiadła rada na ławce pod ścianą i, splótłszy ręce w tyle głowy, patrzała w dal niebieską. A gdy się jej pytano, co widzi tam na niebie, że się tak ciągle wpatruje, — jušci, że widziała, wiele widziała, ino nie mogła ludziom powiedzieć.

Nieraz w tych oczach jej, zapatrzonych wdal, malował się smutek tęskny, i tak łzy na nich drżały, jak rosa poranna na bławatku. Wtedy tak ciężko było jej na sercu, bo ciągle coś jej mówiło, że Jasiek wybrał sobie Bartkową Marynę i do niej także zachodzi. Też

postępowała śmierć za mną, wydawało mi się, że posuwamy się razem jak dwaj dobrzy towarzysze podróży. Wszystko zdało mi się tak naturalnem, — tak prostem w mej wyobraźni. Ludzie mego rodu nie żyją do późnej starości....

RITA. O! Alfredzie, nie mów takich rzeczy. Widzisz przecie, że wróciłeś cało, mimo wszystko.

ALLMERS. Tak. Naraz niespodzianie znalazłem się tam, gdzie dostać się chciałem, na drugiej stronie stawu.

Położenie Rity jest rozpaczliwem. Niedość, że straciła dziecko, ale mąż jest zupełnie jej obcym. Chociaż nie opuszcza jej zaraz, nastąpi to zapewne niezadługo. I tu w bezradnej i znękanej jej duszy zachodzi wielkie przeobrażenie pod wrażeniem powyższego opowiadania. Wierna sobie, boleje wprawdzie nad zerwaniem węzłów płciowych, bo „bądź co bądź jest ziemską istotą“, ale ona kocha męża jeszcze inną miłością, która teraz występuje w pełnem świetle. Aby zatrzymać go przy sobie podsuwa mu myśl podjęcia na nowo porzuconej pracy. Dawniej dzieło jego było dla niej zaporą do wyłącznego posiadania Alfreda, teraz jest deską ocalenia, bo ona gotową zadowolnić się okruszyną. Prosi go, aby pozwolił jej być pomocną przy pracy, bo przecież czemś okropną pustkę zapełnić należy. Chodzi jej niemniej o męża. Praktyczniejszego bowiem i jaśniejszego umysłu od męża, — który zrozpaczony nietylko myślał o położeniu końca własnemu życiu, ale suggestyonował jej samobójstwo — widzi, że Allmers w gruncie rzeczy nie pragnie ani śmierci jej ani własnej. Zapominając o sobie Rita idealnieje, przestaje kochać s i e b i e w mężu, a poczyna żyć dla niego. Wskutek podniesienia skali moralnej, miłość macierzyńska dźwięczy silniejszym i czystszym akordem. W wyobraźni swej żywiej od męża odczuwa śmierć dziecka; widziała „wielkie otwarte oczy“ Eyolfa wlepione w siebie, słyszała poprzez syk i świst parowców, okrzyk rybaków: kula pływa!... lecz pozytywistka odczuwa wyraźnie, że żal i lament nie są materyałem życiowym. Wspólna praca nie zdaje się nęcić Alfreda, ale przy rozbudzeniu uczuć macierzyńskich nasuwa się jej myśl, którą autor drobnym, świetnie inscenizowanym wypadkiem jej podsuwa myśl — zaopiekowania się wiejskiemi dziećmi. Ibsen zdaje się mówić: „aby miłość maciarzyńska była czystą i wielką, kobieta powinna wyswobodzić się z pętów zmysłowych, wznieść ponad interes materyalny“. Odtąd będzie miała, będą mieli oboje wspólny cel życia. Nie ma Eyolfa, lecz mnóstwo dokoła małych Eyolfów w parafii, z których istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy. One zajmą miejsce zmarłego nietylko przy stole, ale w jej sercu, wypełnią próżnie i zbratają z mężem.

W tej przepięknej scenie, w której autor poruszył wszystkie struny duszy ludzkiej, aż do najskrytszych, zdaje się on wyraźniej niż kiedykolwiek wskazywać na zasadniczą różnicę pomiędzy charakterem mężkim a kobiecym. Któremu z tych dwojga poszczególnych typów przyznać palmę pierwszeństwa, jest kwestyą sporną, bo oboje są typami dodatniemi.

Allmers zrazu nazywa projekt żony nierozsądnym, powątpiewając w jej zdolności wychowawcze.

RITA. W tym razie muszę się do tego nagiąć, wyuczyć i wejść w tryb.

ALLMERS. Jeżeli w istocie jesteś seryo we wszystkiem — we wszystkiem co mówisz — to musiała widocznie zajść w tobie zmiana.

RITA. Z pewnością i tobie to Alfredzie mam do zawdzięczenia. Wytworzyłeś we mnie próżnię i muszę pokusić się o wypełnienie jej czemś, czemś co wygląda trochę na miłość.

Allmers zgadza się z nowym stanem rzeczy. Oboje wznoszą chorągiew na trawniku osadzoną, która na znak żałoby była spuszczoną przez pół, i życie rozpoczynają na nowo, na rozszerzonej podstawie. Burza w ich duszach ukołysała się, bo weszła gwiazda nadziei, jeżeli nie nadziei w szczęście to przynajmniej w spokój. Spokój też jest cichym, uroczystym, patetycznym tonem przebrzmiewającym przez końcową scenę, który można porównać z antyfonalną harmonią w Brand'zie i potężnemi akordami w Mistrzu Salnessie.

ALLMERS. Ciężka praca czeka nas znowu Rito przez dzień cały.

RITA. Przekonasz się, że teraz od czasu do czasu sabat pokoju zstąpi na nas.

ALLM. (spokojnie ale wzruszony). Wtenczas zapewne przekonamy się, że duchy są z nami.

RITA (szeptem). Duchy?

ALLM. (j. w.) Tak, zapewne będą kołowały w koło nas te duchy, które postradaliśmy.

RITA (przytakując zwolna). Nasz mały Eyolf i twój wielki Eyolf także.

ALLM. (patrząc prosto przed siebie). Od czasu do czasu może — w wędrówce przez życie będziemy mogli rzucić na nie okiem w przelocie.

RITA. Gdzie szukać ich?

ALLM. (wpatrując się w nią). W górze.

RITA (przytakując) Tak, tak w górze.

ALLM. W górze, w kierunku — gwiazd, w kierunku szczytów i — wielkiego milczenia...

RITA (podając mu rękę) Dzięki!

To słowo: dzięki! mówi za tomy...

Ze stanowiska scenicznego „Mały Eyolf“ aczkolwiek mistrzowski w technice, przedstawia się blado i traci przez narzucające się porównanie z „Mistrzem Solnessem“. Jedynym wypadkiem jest tu śmierć Eyolfa, a ten przypada na akt pierwszy, poczem akcya zanika i rzecz rozpływa się w dyalogach podczas gdy w Solnesie szła progressywnie i kończyła nieuniknioną, scenicznie efektowną katastrofą.

Zestawienie też wypada także na korzyść dawniejszego dramatu, w którym głosił Ibsen konieczność poddania się ewolucyi społecznej i przypuszczenia młodej generacyi do przynależnego jej udziału w życiu społecznem. W tej sztuce zaś udowadnia autor potrzeby wyemancypowania się z pod wpływu zmysłów i zawiązania spójni duchowych. Wprawdzie pod dłutem Ibsena teza ta staje przed oczyma świetna, przeczysta, jak z najpiękniejszego wykuta marmuru i umotywowana zaczerpniętą głęboko argumentacyą, lecz tak daleko idąca apoteoza uczuć platonicznych zakrawa na manią. Natomiast w Solnessie myśl przewodnia jest zupełnie naturalną i nie przeciągniętą.

Atoli i tu, w tej wzniosłej, idealnej sferze dramaturga, (którego podobało się nazwać kapłanem pesymizmu mimo niezbitych dowodów, że wierzy głęboko w dobroć psychicznych fundamentów) myśl czytelnika przebywa z radością i zadowoleniem, usiłując odgadnąć człowieka przedstawionego w dwóch wszechświatowych typach. Ibsen, jak zwykle, zanurza całą rękę w mętne głębie dusz, do których wzrok przeciętnego człowieka nie sięga, i wydobywa z labiryntu tysiące subtelnych obserwacyi, najskrytsze uczuć półtony i ich motywy. Indywidualność postaci jego jest tak silnie zaakcentowaną, że muszą one w artystycznej formie wydać się ekscentrycznemi, a nieobeznanemu z Ibsenem czytelnikowi zrazu wierzyć się nie chce, że to ludzie z krwi i kości. Pod skromną sukienką kryją się w „Małym Eyolfie“ znowu skarby tego tytanicznego umysłu, na misterną składające mozajkę. Ztąd odczytując i odczytując niewiele kartek dramatu robilibyśmy coraz to świeże odkrycia i nagromadzili nawał ich do objętości tomu. Dlatego już surowa postać geniusza północy wznosi się jakoby piramida w pośród braci literackiej, dominujący wywierając wpływ na pisarzy współczesnej ery, którzy mają nadzieję wyryć swe imiona niezamazanemi głoskami na karcie historyi umysłowości.

Nobody.

---

stary Bartek miał gospodarstwo całuśkie, a w skrzyni tyle papierków, żeby pono i dla córki jego na gospodarstwo starczyło. Raz Jasiek, było to przy sianobraniu dosiego roku, niby to śmiał się i figlował ze wszystkiemi dziewczętami, a gdy został sam z Maryną dalej od drugich, wtedy ją objął w pas obiema rękoma, i widziała, że ją pocałował. Udała, że nie widzi, i że ją równak nic nie obchodzi, — a serce w piersi to aż jej coś krajało z żałości. Niejednej nocy wtedy była poduszka jej tak mokra od łez, jakby ją kto ino co ze studni wyciągnął.

Juści smutno jej wtedy było, oj bardzo smutno, ale dzisiaj to jej zato nic nie smutno, a i wczoraj nie było, gdy ją pocałował, chociaż udawała, że się gniewa na niego.

Dzisiaj przy studni to tak prosił, tak prosił, sobacyna, — choć ustami nie tyle, to przeci widziała, jak patrzał na nią, aż jej po plecach latało, jakby jej kto wody nalał za koszulę.

Powiedziała mu: przyjdź, obaczysz, — oj obaczy, jak wygląda go tutaj i za nim banuje przed chatą.

Więc po wieczerzy, gdy matuś już zasnęli, i Antek spał, a tak głucho było wkoło, że słychać było, jak serce jej w piersi kołacze, stanęła cichutko na progu chaty i wyjrzała w noc księżycową, jasną. — Jaśka jeszcze nie było. Przystąpiła do opłotków i, oparłszy głowę na ręce, patrzyła na drogę. Włosy miała spuszczone, a we warkocz wplotła wstążkę kraśną. Księżyc sunął szybko ponad podartemi przez wiatry chmurami i rzucał raz poraz światło na nią, które odbijało zielonawo od koszuli jej białej, na której korale i medalioniki mosiężne błyszczały.

We wszystkich chatach pogaszono światła, tylko z jednego okna padał na drogę pas jasny i rysował się wyraźnie na cieniu chaty. Musi ktoś jeszcze lampkę palić lub ogarek. Potem doleciało do niej ciche, a jednak wyraźne w nocy, na fujarce wygrywanie. To Józiek owczarzów wygrywa sobie pono, a może też i on ogarek pali.

Chwilę czekała, a oderwał się wtedy od chaty jednej cień człowieka, mogła go rozpoznać, kiedy przechodził jasne smugi pomiędzy cieniami chat.

Jasiek? — Juźci Jasiek.

Gdy ujrzał czekającą Staśkę, przyśpieszył kroku i po chwili stanął przy opłotkach.

Ja wiedział, Staśka, ja wiedział, że ty czekać będziesz.

I wyciągnął do niej ramiona ponad okólnikiem, ale cofła się wstecz i ująwszy jego ręce, rzekła:

— Cicho, Jasiek, nie całuj, bo to grzech.

Potem przystąpiła do opłotków i oparła na ręku głowę jak przedtem.

— Kiej nie patrzyłaś na mnie, ja myślał, że mnie spali krew gorąca.

Pochylił się ku niej i, zaglądając jej w oczy, które świeciły jak dwa szafiry, mówił:

Wczoraj takie coś przyszło na mnie, jakieś licho zdusiło mnie za gardło, ażem myślał, że padnę. — Widzisz, Staśka, na chorobę to ziele pomoże jakie abo co, ale na kochanie to żadnego ziela nie wynajdziesz, to abo zadław, się własnemi rękoma, abo, Staśka, weź i ukochaj, że aż serce z piersi wyskoczy przy takiem ukochaniu.

Uśmiech rozkoszy okrasił usta Staśki, a tak jej miękko robiło się na sercu, jakby jej samo zapłakać miało słodkiemi łzami.

— Juści prawda, Jasiek, — juści prawda, — odparła mu i, nie mogąc się oprzeć uczuciu, rękę lewą, na której nie była opartą, podniosła wolno i położyła mu na ramieniu.

Chłopaka aż dreszcz przebiegł za dotknięciem jej dłoni, i przycisnął rękę jej namiętnie do piersi, a w oczach, któremi patrzał na nią świeciły płomienie jak dwa ogniki nocne.

— Wiem ja, co to kochanie, Jasiek, bo bez ciebie świat mi obrzydł cały, a kiej mam robotę, to wszystko mi tak nijak, kiej ciebie nie widzę.

Jemu zdawało się, że za tą jej koszulą białą chyba ogień się pali, takie ciepło szło od niej. Odurzało go to ciepło rozpalonego łona, w piersi jego budziła się jakaś moc, która go par

Prywatne stosunki z muzą.

(*Dokończenie.*)

Tobie się widzi, że on umie tylko zniechęcać innych i siedzieć do rana w knajpie, a później do obiadu samego spać — a on tymczasem miewa dni i okresy zawziętej, zaciskającej rękę energii i po próżniaczej, leniwej pauzie, naraz podmalowywa coś na wielką skalę, a potem wykończając, znęca się po prostu nad płótnem tak długo, aż będzie godnem wystawienia w salonie jak monachijski lub paryzki.

Organizacya to w ogóle nierówna, nerwowa i gorączkowa. Jest tak dalece na łasce nerwów, że obraża ludzi nie wiadomo za co i po co, i sam czuje się urażonym nie wiadomo czem. A jednak drażliwości tej okazywać mu nie wypada, więc się nachmurza i w norę swoją włazi, jak zraniony zwierz. Przysłano mi oto „Tę trzecią" Sienkiewicza; czytam, zachwycam się i daję malarzom — zabawa i zadowolenie setne. Ale ponieważ jest tam ośmieszony, wprawdzie z dziwną sympatyą, maniak artystyczno-cygańskiej tężyzny, który jednak wkrótce pod wpływem Paryża, zaczyna się nosić jak ostatni dorobkiewicz, więc *On* myśląc, że piją do jemu podobnych, nie lubi „tej trzeciej", nie lubi, gdy się ją chwali. Nikt jednak tych jego wewnętrznych dąsów nie podejrzywał i gdy razu pewnego ktoś zacytował piękne zdanie z owej noweli brzmiące mniej więcej w ten sposób, iż największa sztuka nie warta tego co swobodą — On był przekonany, że chciano go ukłuć, choć wiem napewno, że przytoczono te słowa w najniewinniejszej myśli.

I oto stopniowo rozluźniły się węzły pomiędzy nim a towarzystwem, mimo całej dla niego i jego kaprysów i wybryków pobłażliwości. Pamiętam, że jeden z kółka, także zdolności pierwszorzędna, ale człowiek znacznie młodszy, skarżył się wyrozumiale, że *on* będąc u niego z wizytą w pracowni, nawet nie raczył spojrzeć na stalugi z wielkim i nawet, jak gadano, znakomitym obrazem. Czy to była dyplomacya, czy etykieta wizyty nie pozwalała mu zainteresować się pracą kolegi, już wsławionego? Nie sądzę, ot! bezceremonialne lekceważenie współzawodnika, szczęśliwego dosyć, bo i zręcznie wyzyskującego środki reklamy, jakie w swych rękach posiadał. Sprzeciwiało się to jednak zupełnie zwyczajom, wśród malarzów, no i chyba nie malarzów przyjętym.

Ponieważ, jako intruz, nie lubiłem narzucać się ze swem zdaniem, i w kole ludzi znających dobrze i tylko sztukę, miałem więcej do słyszenia i obserwowania, niż do mówienia, przeto jeden z nich zrobił mi raz życzliwą uwagę, że mi *on* bardzo imponuje, i że „to widać z mojej fizyognomii". Przyznam otwarcie, iż nawet najwybitniejsze jednostki ze świata malarskiego, które miałem sposobność poznać, tak mię raziły zawsze okropną jednostronnością umysłu, żem się niemi zachwycać nie mógł, choć nieraz zachwycałem się ich obrazami. Jeszcze o noweli, powieści, krytyce artystycznej można z nimi mówić i nieraz nawet posłyszeć oryginalną uwagę, ale o rzeczach innych, o sprawach ogółu i całej literatury — nie miałem odwagi.

Cóż więc dziwnego, że jego wyróżniałem wzrokiem i spojrzeniem i że z nim najczęściej w zdaniu się zgadzałem? Nie mówił płynnie, ale ściśle i dobitnie, słownik miał ubogi, ale objęcie rzeczy znakomite. Intuicya zastępowała mu nieraz wykształcenie literackie i filozoficzne.

Pamiętam tę noc, kiedy, po rozejściu się towarzyszów do domów, błądziliśmy prawie do rana po ulicach. W ciszy i ciemności ukazują się ludziom duchy — i mnie i jemu zamajaczały widma dalekich znajomych i dalekich ziem.... Gadało się o wielu sprawach...

On występował w nieznanem mi dotąd świetle — okazał się człowiekiem kryjącym pod chłodną maską głębie melancholii i liryzmu. Na wspomnienie o ludziach, mających w sercu miejsce i na sztukę i na bolesne dramata historyi, z uwielbieniem przyznał nad sobą wyższość Witkiewiczowi.

Zabłądziliśmy do kawiarni tureckiej na mokkę. Pusto już było i służba drzemała prawie: kelner w fezie i szerokich szarawarach, (według jednych autentyczny wyznawca Mahometa, według innych żyd z Jerozolimy), blagował na funty, jakby w biały dzień. On czuł się wśród tych sprzętów arabskich, wdzięcznych w liniach, i kolorystycznych, bardzo zadowolnionym. Wszystko, co miało styl prawdziwy, pociągało go niewymownie; nietylko dla tego, że zawierało artyzm, ale że było obce, dalekie, ze świata. Zapewniano mnie, że codzień chodził na dworzec kolei, ażeby doznawać przedsmaku jazdy — dokąd? do Paryża, do Londynu, dokądkolwiek, byle na świat wielki, szeroki, do „Europy" — bo Monachium to dlań zwyczajna dziura. Dla całego klasycyzmu nowożytnych Aten miał głęboki wstręt, jak dla parweniusza, a o Glyptotece stale twierdził, że przechodząc koło niej miał zawsze chęć — wyć w niebogłosy.

Przekonałem się niebawem, że włóczęgostwu swemu pozostał wiernym, bo od owego czasu zmienił przynajmniej pięć razy miejsce „stałego zamieszkania".

Kiedy w rozmowie z pewnym jego przyjacielem, wybitnym powieściopisarzem, potrąciłem o niego i wyraziłem żal, że pracuje tak niewiele, że jest mojem zdaniem potrosze zmarnowany, literat odrzekł, że innym nie byłby nawet w najlepszych warunkach.

Nieprawda — co innego typ, a co innego zmarnowanie. Że tworzy rzadko i nierówno, to może wypływa z nerwowej, niekarnej natury. Ale, że będąc powołanym do stworzenia grupy i szerzenia swego wpływu, kończy zwykle zrażeniem ludzi do siebie -- to rezultat warunków, wśród których znajduje się większość artystów polskich. On ma szaloną ambicyę posiadania własnej szkoły, a tymczasem, o ile widziałem, przypuszczalnym uczniom swoim nigdy dobrze nie życzy i jest drażliwy jak żak. To już zmarnowanie, przynajmniej częściowe.

Za dowód służą zresztą wszyscy jego koledzy, całe grono nietylko „Café Union" ale i z „Walhalli" i z „Lohengrina". Są to sympatyczni bezwiedni komicy. Każdemu brak jednej klepki. Nie tej klepki, której zdrowem, normalnem posiadaniem pochwalić się może lada filister, lecz tej, która nadaje fizyognomii powagę, życiu — płodność, sztuce — prawdziwy styl. Z małemi wyjątkami, tworzą kapryśnie, dorywczo, bez przekonania. — Zdaje mi się, że żaden nie ma zadowolenia wewnętrznego, stałego kierunku duszy, „dyrektywy", silnej wiary w swe rzemiosło.

Są bohaterami nie dramatu, lecz jedynie poważnej komedyi. Komedyę bowiem stwarza to dziwne społeczeństwo, w którem żyć — jest to rozdrabniać swój ideał na idealiki, talent na talenciki, sztukę na sztuczki, a które porzucić dla obczyzny, — jestto dobrowolnie skazać się na tysiączne bóle i bolączki. Współczuję im głęboko...

Cezary Jellenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 16 stycznia.

(*Hurko i Kościuszko. — Nowy witraż w kościele N. M. Panny. — Telefony. — Towarzystwo oświaty dla inteligencyi. — Z teatru.*)

„Czas" i „Nowa Reforma", żyjące wpra

---

do niej potężnie; — więc objął ją ramieniem, że teraz na jego piersiach miała głowę i tak do nich przygarnąć się mogła, jak ptaszek w gniazdku.

Przytulonej bokiem do niego tak było rozkosznie, — tak czuła się bezpieczną, jakby przytem sercu jego świat jej się kończył cały, a zaczynało niebo czyste.

Tylko gdy schylił głowę i szukał jej ust rozpalonemi ustami, wtedy podniosła na niego bławatkowe oczy jak sarna wylękła.

— Nie całuj, Jasiek, nie całuj, — rzekła cichutko, — bo to grzech.

Chłopak usłuchał, tylko przyłożył twarz pałającą do jej włosów jasnych.

— Mnie to aż strach iść do chaty, — rzekła, — a kiej głowę przyłożę do poduszki, to mi tak przykro okrutecznie, że ty śpisz sam, zdala odemnie, Jasiek, jak jaki obcy, jakbyś mnie nie znał, a ja cię nie miłowała tak serdecznie.

— Taj chodź zemną, — wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

— Po weselu, Jaśku, po weselu.

Już owczarka granie dawno ustało, i zniknął pas światła ostatni pod oknem, gdy Staśka głowę podniosła od jego piersi, — a tak jej było, jakby ze snu przebudziła się rozkosznego.

— To już bardzo późno, — rzekła, — patrz jak księżyc daleko na niebie, to już bardzo późno.

— Taj cóż, czy boisz się przy mnie? a matula w chacie śpią?

— A tobie czy nie wstać jutro do dnia, mój złociusieńki, idź już, idź, ja też się układnę.

I oderwała się od niego, broniąc się jeszcze, gdy ją chciał na dobranoc w usta pocałować.

— Po weselu, Jasiek, po weselu, — rzuciła mu z uśmiechem i znikła we drzwiach chaty.

Chłopak został sam na drodze, a tak czarno wydało mu się teraz na świecie; — drzwi chaty, za któremi znikła, takie były czarne, puste, krzyż sterczał przed chałupą samotnie, jak na cmentarzysku, — a i świat cały był jak cmentarz jeden.

— Po weselu cie, — zaśmiał się do siebie.

Staśce długo tej nocy nie kleiły się do snu powieki, — a gdy zasnęła w końcu, śniła o Jaśku, bo uśmiech szczęścia błądził po jej ustach.

Juści już teraz do szczęśliwości nic nie brakło; w niedzielę był Jasiek znowu u niej i w poniedziałek, a choć potem już nie przyszedł na wieczór, w sercu miała tyle szczęścia, że jej starczyło na tydzień cały.

Chyba nieboraczyna czasu nie miał we żniwa, aby po nocy do niej zachodzić, — narobił się w polu tyle, to i należało mu się spocząć przecie ksynkę. Nie była wcale markotna na niego, że aż do soboty następnej nie był; kiej w sobotę przyjdzie znowu, to ucieszą się razem na długo.

Więc w sobotę, — gdy już wieś cała we śnie spoczywała głębokim, — wyszła z chaty i przy opłotkach czekała na niego, takusieńko jak przed tygodniem.

Takusieńko księżyc świecił na niebie, tyle że go dobrze połowa ubyła.

Czekała już chwilę, — a Jaśka nie było widać, — marudzi chłopak. Dochodziły raz-poraz do jej uszu jakby zmącone głosy dalekiej rozmowy: nadsłuchiwała, kiej zaraz milkło wszystko, — muszą gdzie w chacie gwarzyć jeszcze.

Potem było spokojnie znowu i głucho, — nie wygrywał dziś owczarek na fujarce, tylko... Zdawało jej się, jakby posłyszała odgłos harmoniki. Jasiek miał harmonikę i umiał grać, tylko gdzieby miał grać teraz!

Przywidziało jej się chyba.

Rękę, na której miała opartą głowę, opuściła nagle do połowy i wsłuchała się z natężeniem, — znowu usłyszała wyraźnie harmonikę.

— Licho jakie abo co? — Rozpoznawała nawet melodyą dokładnie, — juści Jasiek gra, bo to jego piosenka, — ino gdzie?

wdzie ze sobą w ciągłem nieporozumieniu, ale unikające w ostatnich czasach zajść burzliwych, pokłóciły się nareszcie o Hurkę i Kościuszkę. Czytelnicy zapewne zdziwią się, jak można zestawić dwa takie nazwiska. Że można, dowiódł „Czas“, a raczej p. Koźmian, autor artykułu w „Czasie“ o Hurce. Cudowny był to artykuł! Znać było, że pisała go niepospolita głowa, człowiek genialny, „leżący kapitał“, jak sam p. Koźmian pisał niegdyś o sobie w „Gazecie Polskiej“. Naprzód p. Koźmian twierdził, że sława wojenna jest największą. Jeżeli myślimy o Cezarze, Aleksandrze Wielkim, Napoleonie, to ma zapewne p. Koźmian słuszność, lubo i tak należałoby zrobić poprawkę i powiedzieć, że jest „jedną z największych“, bo z pewnością Szekspir więcej jest dziś znany i popularny, aniżeli Aleksander Wielki, o którym nic nie wiedzą często w kołach uczęszczających na wyższe miejsca teatru, a o którym wie inteligencya jedynie dzięki podręcznikom szkólnym. Ale dla p. Koźmiana to sława Szekspira, Kolumba, Kopernika, Homera, Rafaela jest niczem wobec sławy jenerała Hurki. On nie przypuszcza, że za lat sto o Moltkem nawet zapewne będą ludzie tyle wiedzieli, ile my dziś wiemy o Marlborough'u, choć postać ta pod względem znaczenia i wpływu na dzieje sobie współczesne dziesięćkroć przerasta Moltkego. P. Koźmian zapomniał, że takich jenerałów jak Hurko było w ciągu istnienia pisanej historyi lekko licząc 10 tysięcy, z których przynajmniej połowa większych czynów dokazała, a przecież nawet ich nazwisk ani p. Koźmian, ani nikt inny w dziesiątej nawet części nie wyliczy. Owszem, można powiedzieć, że oprócz kilkunastu wielkich wodzów, co światem wstrząsali, lub których pamięć nie zatarła się dzięki wielkim poetom, nie ma nic więcej nietrwałego jak sława wojenna. Kto oprócz nas n. p. wie coś o Chodkiewiczu, choć zwycięstwo Kircholmskie w dziejach sztuki wojennej należały do najwspanialszych. Z przykrością dla dumy narodowej przyznajemy, że nawet o Janie Sobieskim inteligentna Europa nie wie dziś nic wcale, choć potrzeba wiedeńska sławna była na świat cały, choć była jednym z największych wypadków wieku XVII.

Wyszedłszy z fałszywego założenia, brnął dalej p. Koźmian po pas w nonsensach, aż dobrnął do Kościuszki. Chciał się niby wznieść na najwyższy szczyt bezstronności, z czego wypadło, że jak my czcimy Kościuszkę, tak dla Rosyan wielkim jest Hurko. Trudno zaiste wymyślić zabawniejsze zestawienie. Pomińmy zupełnie to, że Kościuszko był Polakiem, wymażmy zupełnie naszą narodową wrażliwość, zapomnijmy, że Hurko był satrapą Królestwa. Ale każdy uczciwy Rosyanin przyzna, że zestawienie tych dwóch postaci obok siebie jest kolosalnie zabawne. Hurko, zwykły podkomendny jenerał, idący tam, gdzie mu iść kazano, według planu opracowanego w sztabie — Kościuszko zaś to wódz naczelny, dyktator, to człowiek, w danej chwili mający królewską władzę. To jedno już wyklucza wszelkie zestawienie, a cóż dopiero gdy weźmiemy na uwagę, że Kościuszko był naczelnikiem narodu, walczącego o swoją wolność, a Hurko naczelnikiem paru dziesiątek tysięcy żołnierzy, bijących się z Turkami, bo tak się carowi podobało. W Kościuszce każdy, choćby nie Polak, widzi ideę, w Hurce każdy, choćby moskal, tylko dobrego dowódzcę korpusu. Bądźmy zupełnie sprawiedliwi i powiedzmy, iż Hurko był nawet lepszym jenerałem od Kościuszki, ale bo też sława tego ostatniego nie polega na zdolnościach wojskowych. Gdybyśmy przebiegli myślą nasze dzieje, to z pewnością znaleźlibyśmy w nich stu wodzów, którym Kościuszko nie dorównał zdolnościami. A jednak o tamtych zapominamy, a Kościuszkę wielbimy nie jako wielkiego wodza, ale jako reprezentanta idei. Jako takiego wielbiła go niegdyś cała Europa i dziś jeszcze o nim pamięć w niej całkiem nie zagasła. Gdybyśmy dalej chcieli przeprowadzać porównanie, gdybyśmy wzięli pod uwagę charakter i przymioty, to byśmy doszli do przekonania, że dwóch takich kontrastów jak Hurko i Kościuszko nie było chyba na świecie. Ale i to, cośmy powiedzieli, jest już dostateczne do wykazania, że p. Koźmian plótł jak na mękach. A najzabawniejsze to, że „Czas“ nazywa bezczelnem kłamstwem twierdzenie, że porównał Hurkę z Kościuszką. Przyjaciele p. Koźmiana zaręczają, że on tak „nie myślał“. Być może, ale zkąd możemy wiedzieć, co p. Koźmian myśli, jeżeli nie z tego, co pisze. Lepiej się przyznać, że palnęło się głupstwo. Wszakże to nie pierwsze i nie ostatnie.

Niedawno donosiłem, iż hr. Ignacy Milewski ozdobił kościół Maryacki wspaniałem oknem kolorowem, tak zwanym witrażem. Okno to umieszczone w presbyteryum ze strony kościoła św. Barbary, otrzymało pendant ze strony przeciwnej od zakrystyi, dzięki ofiarności hr. Antoniostwa Potockich z Olszy pod Krakowem. Wysokość okna wynosi 14 metrów, na której to przestrzeni znajdują się witraże prostokątne wielkości 1 metra. Kilka z nich środkowych zlewa się w jednę całość, będącą kopią obrazu N. P. Maryi Częstochowskiej, otoczoną herbami kapituł polskich. Nad wizerunkiem Matki Bożej wznosi się orzeł biały, umieszczony wśrod czterech herbów Krakowa, Warszawy, Wilna i Poznania. Nad temi znowu herbami unoszą się w trzech witrażach postacie św. Antoniego, św. Anny i św. Celestyna, jako patronów fundatorów. Niżej podobizny Matki Boskiej są herby województw oraz kilka herbów rodzin polskich. Cały ten transparent otacza tło niebieskie, gwiazdami zasiane. Piękna ta świeża ozdoba kościoła Maryackiego, ustępuje nieco według znawców pod względem wartości artystycznej oknu fundowanemu przez hr. Milewskiego. Różnica ta zapewne powstała z powodu, iż okno hr. Milewskiego zostało wykonane we Francyi, która zawsze przoduje na polu wszelkiej sztuki, a więc i zastosowanej do przemysłu, a okno hr. Potockich wyszło z zakładu wiedeńskiego, Geylinga.

Dyrekcya poczt i telegrafów ma nieustający kłopot z telefonami w Krakowie. Wpłynęło do niej 40 nowych podań o urządzenie stacyi telefonicznych, które zaledwie w połowie może przychylnie załatwić. Przeszkadzają jej w tem właściciele kamienic, broniący się zawzięcie przed umieszczeniem na nich tak zwanych stojaków, czyli dźwigarów pod druty telefoniczne. Panowie ci obawiają się piorunów i brzęczenia drutów, mogących im przerywać sen dobrze zasłużony. Dyrekcya więc oświadczyła im, że gotowa urządzić własnym kosztem gromochrony i zabezpieczy ich za pomocą wałeczków gumowych od możebnego wyrywania z objęć Morfeusza. Może w ten sposób nareszcie uda się dyrekcyi poskromić zaściankowość naszych panów kamieniczników.

W „Związku literackim odbyła się pogadanka na temat popularyzowania wiedzy za pomocą podręczników. Prelegentem był p. Konstanty Lipowski; w dyskusyi brali udział profesorowie uniwersytetu, literaci i prawnicy. Z zestawień bibliograficznych okazało się, iż jedynie wydawcy warszawscy położyli na tem polu niejakie zasługi. W Galicyi wychodzi wprawdzie sporo podręczników, ale jedynie do szkolnego użytku. Wydawcy-księgarze obawiają się strat materyalnych. Należałoby więc może oprócz Towarzystw Oświaty ludowej, założyć Towarzystwo Oświaty dla inteligencyi. Nie jest to żaden żart, bo idzie o to, aby ludzie wykształceni w pewnym zawodzie, pracujący na specyalnem polu, mogli przyswajać sobie w sposób przystępny wyniki badań naukowych we wszystkich kierunkach wiedzy ludzkiej. Przed 30 laty istniało już w Krakowie takie Towarzystwo, noszące nazwę „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych“, któremu jednak zarzucano, że nie było ani tanie ani pożyteczne. W zarzucie tym była przesada i Towarzystwo nie dlatego upadło, jakoby nie pojmowało swego zadania, lecz z powodów, iż nieżyjący już dzisiaj założyciel jego, wskutek strat materyalnych na

---

Zdawało jej się, że na ciemnem tle jednej chaty z drugiego końca wsi rysuje się jasny smug światła, padający z okna.

A może jej się tylko tak widzi?

Tam gospodarskie same stoją chaty. A może to u Bartków, — a może to Jasiek u Bartków gra?

Święta Matko Częstochowska! może to Jasiek u Bartków gra?

Wyprostowała się nagle, jakby krew w niej w lód stężała. Potem rzuciła się naprzód, otworzyła szybko furtkę i wybiegła na drogę.

W niepewności, z bijącem sercem biegła przez wieś do tego światła, które z okna padało.

W miarę jak się zbliżała do Bartkowej chałupy, rozpoznawała coraz wyraźniej głosy rozmowy, — i to światło to z ich padało okna.

Serce jej biło jak młotem i oddech wydobywał się głośno z pół otwartych ust, gdy stanęła przy ich chacie. Czoło przyłożyła do chłodnej szyby okienka i zajrzała do wnętrza izby...

Wtedy było jej, jakby ją kto młotem kowalskim naraz w pierś uderzył, — dech jej zaparło, i serce bić przestało.

Szeroko rozwartemi oczyma patrzała, czy to prawda, czy to prawda być może?!

Jasiek z Maryną siedzieli razem na ławce pod ścianą, on trzymał na kolanach harmonikę, pociągając ją czasem, jak dla zabawki. Bartkowie starzy siedzieli przy stole drewnianym, i gwarzyli wszyscy wesoło przy pełnych kubkach.

— Pokłonił się starym o Marynę pono.

W pierwszej chwili zawrzała w niej z całą mocą duma kobieca, wyprostowała się butnie i ujęła pod boki.

— Takie to twoje kochanie, — na dzień, na dwa chciałeś mnie tylko? Sobaczy synu jeden, obaczysz, że potrafię równak żyć przez ciebie.

Potem przyłożyła znów czoło do szyby zimnej, jakby jej sprawiała rozkosz piekielną ta hańba jego, na którą patrzała.

Gorący oddech wpół otwartych jej ust osiadał coraz większem kołem na szybie, aż wkońcu zakrył jej wszystko przed oczyma.

Wtedy, gdy nie widziała już nic, począł jej zły duch jakiś za tą szybą zaparowaną najwstrętniejsze przedstawiać obrazy. Widziała, jak objął w pas Marynę, jak ją całował i pieścił. Potem zaczęło jej wszystko tańcować przed oczyma, Jasiek i Maryna byli niby maszkary piekielne, które wykrzywiały się i podrywały wstrętnie. Wpatrzona w to wszystko błędnem okiem, — rozmyślała, sama nie wiedząc skąd, o tych swoich snach minionych, o tych cudnych marach szczęścia, o kochaniu swem, jakby to wszystko pięknie być mogło, gdyby ona siedziała tam przy nim na miejscu Maryny — jakby to wszystko cudnie być mogło, gdyby nie była wzgardzoną, nie patrzała pod oknem sama, jak inną tulił do siebie.

Te uczucia wszystkie niejasne, nierozwikłane wzbierały coraz bardziej, coraz potężniej w jej sercu, aż w końcu — porwała się jak wilczyca zraniona, chwyciła za włosy swoje jasne obiema rękoma i zatargała zapamiętale. Otworzyła już usta, aby krzyknąć wściekle, ale wstrzymała się wczas i zagryzła do krwi wargę, — aby się nie zdradzić.

Potem zwróciła się nagle i jęła uciekać, uciekać z wszystkich sił.

Byłaby uciekała tak na koniec świata, gdzie do morza, aby na samem dnie jego ukryć się ze swoim żalem, — choć do piekła, aby tylko nie widzieć tego, co przed chwilą widziała.

Gdy przybiegła do matczynej chaty, stał przed nią krzyż tak poważnie, oblany światłem księżyca, — wiatr zerwał kilka łodyg powoju i wiewał niemi teraz.

Taką miała potrzebę przytulenia się do czegośkolwiek, — choć paść na ziemię i do niej przytulić gorącą pierś i ochłodzić rosą nocną ogień serdeczny.

Choć pod krzyżem uklęknąć, objąć go ramieniem i schronić się u niego.

Przypadła więc do krzyża i objęła pokryte zielenią drzewce jego białemi ramiony.

— O Jezusińku ty mój, Jezusińku słodki,

innem polu, powikłał się w interesach i zaniedbał sprawy wydawnictwa. Z dzieł wydanych przez owo Towarzystwo przypominam: „Geografię dawnej Polskiej“ Tatomira, „Dzieje literatury przedchrześcijańskiej“ Szujskiego, „Świat roślinny“ Müllera, „Sztukę“ Łepkowskiego, „Rząd reprezentacyjny“ Stuarta Milla i „O szkole“ Juliusza Simona. Były to zatem wszystko podręczniki, przeznaczone dla inteligencyi. Możeby wznowienie takiego Towarzystwa zaradziło odczuwanej potrzebie. „Związek literacki“ miałby wdzięczne zadanie, gdyby podjął się tej misyi.

Ze sprawozdania komisyi teatralnej dowiadujemy się, iż od 1 kwietnia do końca grudnia przedstawiono w teatrze 49 sztuk, danych 131 razy. Cyfry to wymowne. Dowodzą naprzód, że wybór sztuk nie był szczególny, jeżeli przeciętnie nawet trzy przedstawienia na jednę nie przypadają. Większa część premier była grana zaledwie dwa razy. Wątpić należy, aby wszystkie były tak złe, więc oprócz nieszczególnego wyboru, składają się i inne przyczyny na to dziwne niepowodzenie „nowości“. Widocznie dyrekcya jest nerwowa, żądna nieustannej odmiany, zrażająca się łatwo niepowodzeniem. Znawcy teatralni wiedzą, iż często sztuka, nieściągajaca widzów na pierwsze przedstawienie, cieszy się później stałem uznaniem ze strony publiczności. Trzeba ją tylko dobrze wystawić, a nie po paru próbach wyprowadzać ją na scenę. Jestto rzeczą całkiem niemożebną, aby jedni i ci sami prawie aktorzy w ciągu czterech miesięcy wyuczyli się sztuk 49. Ztąd najżyczliwsze nawet Dyrekcyi organy wciąż zarzucają grającym spuszczanie się nieustanne na suflera. Inaczej przy tym systemie być nie może, bo nie jestto stan normalny, lecz gorączkowy. I w przeszłym tygodniu zaledwie przedstawiono dwa razy „Zły zasiew“ Vischera, dano dwa razy „Ostatni akt“ Jeske Choińskiego, a po tych dwóch nowościach widzieliśmy trzecią nowość „Łapowników“ A. Ostrowskiego. Przynajmniej, że ta ostatnia sztuka jest całkiem na czasie.

K. Bartoszewicz.

Młodzież — o roku żałoby.*)

Żadne sofizmaty, zwalczające żałobę narodową twierdzeniem, „że żałobę obchodzi się tylko po umarłych, a naród nie umarł, lecz żyje“. — nie zmienią dla nas tego faktu, że w r. 1795 naród polski stracił odrębność państwową, najdroższy skarb każdego żyjącego społeczeństwa, najskuteczniejszą dźwignię pomyślności ekonomicznej, rozwoju umysłowego i cnót obywatelskich.

O tem, że naród żyje, sami wiemy najlepiej, bo życie jego czujemy we własnem sercu: ale właśnie dlatego uważamy za swój obowiązek przypomnieć całemu światu, że na cały przeciąg stu lat ostatnich patrzymy jak na wielką przerwę w historycznym rozwoju tysiącletniego społeczeństwa.

Żałobę narodową stawiamy bez porównania wyżej od wszystkich innych obchodów i sądzimy, że poprzećby ją powinni nawet ci, którzy wszelkim demonstracyom z reguły są przeciwni. Wszelkie uroczystości dotychczasowe — nabożeństwa, czy publiczne pochody — łączyły się zawsze z jakąś akcyą, z jakimś czynnem wystąpieniem, i dla tego nie mogły, nieraz wbrew woli swoich twórców, obejść się bez krzyków i rozgłosu. Żałoba narodowa, jako taka, akcyi żadnej nie wymaga: nie polega na żadnem działaniu, lecz na wstrzymaniu się od pewnych czynności (t. j. od hucznych balów), jeżeli więc będzie demonstracyą, to demonstracyą cichą, spokojną, milczącą, cichszą, niż tańce i zabawy tych, którzy się jej sprzeciwiają.

Ciężki los braci naszych pod sąsiednim zaborem nadaje naszemu obchodowi podwójne znaczenie. Będziemy obchodzili żałobę i po tych, którzy przed stu laty cierpieli dla narodu, i po tych zarazem, którzy teraz dla niego cierpią. Będziemy ją obchodzili i za siebie i za nich, we własnem i w ich imieniu: bo im nawet smutku swego nie wolno objawiać tak, jakby tego pragnęli. Nie lękamy się przez to pogorszyć ich losu, ani też popchnąć ich do nierozważnych działań. Jesteśmy głęboko przekonani, że zemstę gnębicieli daleko łatwiej rozdmuchać mogą nieustanne artykuły umiarkowanych dzienników, nieumiejące zdobyć się na bezstronność nawet w omawianiu czysto rosyjskich stosunków, niż cicha, czysto negatywna demonstracya: stosunek zaś Galicyi do Królestwa pojmujemy nie jako stosunek mistrza do ucznia, lecz jako stosunek młodszej braci do starszej, i dalecy jesteśmy od zarozumiałego przypuszczenia, iżby nasze manifestacye miały tam znaleźć ślepych naśladowców.

Po stu latach pracy nad charakterem narodu, po tysiącznych deklamacyach o odrodzeniu społeczeństwa przez pracę organiczną potrzeba nam ogniowej próby. Nie będą nią same składki, choćby najpomyślniejszym uwieńczone skutkiem, bo one świadczyć mogą tylko o dobrobycie materyalnym i o zwiększonej wraz z cywilizacyą ofiarności, która u wolnych, szczęśliwych społeczeństw daleko szybszym postępuje krokiem. Próby takiej nie dostarczą również nabożeństwa, śpiewy kościelne i historyczne odczyty, którémi przeciwnicy nasi pragną uczcić żałobną rocznicę; w najlepszym razie będą to tylko czyny energicznej mniejszości, objawy rzutkości jednostek, przy biernym udziale ogółu. Tylko żałoba narodowa może być probierzem całego społeczeństwa. Od wszystkich zarówno, od najwyższych i najniższych, od najwykształceńszych i najmniej wykształconych żąda ona jednakowo czynnego współdziałania i jednakowego poświęcenia, najsłabsze i najsilniejsze charaktery na równą wystawia próbę: a jak u człowieka poszczególnego odmówienie sobie jakiejś przyjemności jest najszczytniejszym dowodem doskonałości moralnej, tak zbiorowe zaparcie się całego społeczeństwa świadczyć będzie najwymowniej o jego duchowem odrodzeniu, o sile jego woli, o charcie jego charakteru.

*) Powtarzamy w tem miejscu — w głównych ustępach — artykuł redakcyjny „Czasopisma Akademickiego“, nowo powstałego we Lwowie organu młodzieży. (Przyp. Red.)

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

I.

...Wsłuchany w muzykę jej głosu i zapatrzony w mieniące się barwy oblicza, ulegałem chwilami wrażeniu, że stoję przed obrazami mistrzów włoskich z czasów *Cinquecenta*. Kolory gdzieniegdzie starły się, przybladły, miejscami załamało się płótno, lub z wspaniałego fresku ukruszyła się cząstka pierwotna, lecz czar geniuszu nie zginął i — wpatrywałem się w tę artystkę wielką jak w ucztę Chrystusową Lionarda da Vinci lub cudowne malowidła Sykstyńskiej kaplicy, gdzie Botticelli, Perugino, Signorelli i Michał Anioł unieśmiertelnili nazwiska swoje. Jest w Helenie Modrzejewskiej blask renesansowego piękna, — blask, którego czasu tchnienie nie zatarło: Rafaelowski rysunek, barwy Corregia, uduchowienie Bernarda Luini i wszędzie ta poezya odrodzenia, strojąca w urok niewypowiedziany włoskie obrazy 15 i 16 stulecia. Są w franciszkańskim kościele w Lugano freski Luiniego, przedstawiające stacye pasyjne, — a pędzel artysty, jakby lękając się nagiego realizmu i brutalnych akcentów, wyszlachetnił nawet siepaczy, rzymskie nawet katy; coś podobnego dzieje się w kreacyach Modrzejewskiej. Klasyczna dusza artystki cofa się trwożnie przed żywem zwierzęciem w człowieku, a gdy je wcielić w siebie usiłuje, wtedy to zwierzę zawsze wypiękniej i jak przez mgłę różową ludziom się ujawnia. I dla tego najpotężniejszą jest Modrzejewska w rolach klasycznego repertuaru, — dla tego najsilniej przemówiła do mnie w Szyllerowskiej Maryi. Nowoczesna historya teatru zna niewątpliwie artystki, piastujące w duszy równe bogactwo siły dramatycznej, ale zdaje mi się, że wyżyn takiej królewskości nie osięgła żadna rywalka. W bólu jej i gniewie, w obec lordów i siostry Elżbiety, w chwilach nadziei radosnej i u stóp szafotu, była to królowa, — krew z krwi Stuartów. Nasuwało się tu mimowoli porównanie z inną kreacyą Modrzejewskiej, z królową — perweniuszką, wdową po Gasztoldzie, Barbarą Radziwiłłówną. Dwie królowe i cała przepaść je dzieli, — dwie królowe, z których szablon teatralnej królewskości nie stworzył zdawkowego typu. Jedna z tronu i dla tronu zrodzona, druga wyniesiona ku wyżynom korony, jedna zrosła od dzieciństwa z królewską dumą i powagą, druga gość nieśmiały w królewskich komnatach, jedna broniąca historycznych praw królewskości swojej, druga sięgająca po nowe prawa dla siebie. Zrozumiała Modrzejewska odrębność dwóch typów kobiecych i dwie odrębne stworzyła postacie. Z Barbarą wchodził na scenę jakiś lęk dyskretny i chwiejność. W obliczu jej mniej było bólu a więcej zakłopotania, mniej dumy obrażonej a więcej lamentu. Marya Stuart natomiast stąpała po więziennej celi w całej okazałości lwicy zamkniętej, lecz nie ugłaskanej, a w chwilach, gdy kark dumny zginała przed siostrą, to tyle wysiłku było w tej pokorze, tyle nienaturalnych akcentów w wyrazach uległości, że najzimniejszy z widzów czuł bunt potężny w głębinach duszy królewskiej, — protest krwi Stuartów przeciw tej masce niewoli. A potem gdy wobec wyniosłości i żółciowego sarkazmu bękarta w dym się rozpływa komedya pokory i cała Stuart staje przed Elżbietą, jakiż grom Jowiszowy zahuczał na scenie, jak się te źrenice rozwarły, jak cała postać prężyła się, rosła. Fanatyk scenicznego realizmu mógłby tej scenie zarzucić, że była nadto — klasyczną, że w chwilach takich uniesień słowa nie płyną w czystych pasażach, ruchy i mimikatnie układają się według prawideł symetrycznego piękna, lecz zarzut taki możnaby z równem prawem cisnąć Schillerowi: Czyż w chwilach szalonego wybuchu Marya pamiętać mogła o rzeźbionych zwrotach stylowych? Przypominam sobie jeden karton Michała Anioła a raczej szczątki kartonu w starych reprodukcyach. Przedstawia on żołnierzy zaskoczonych

---

— wyrzekała takim głosem, jakby jej serce rwało się na strzępy; i łzy gorzkie spływały po jej policzkach.

A gdy spojrzała w górę, do Pana Jezusa, ujrzała poschnięte koronki, które już dawno temu zawiesiła, i oderwane wiatrem łodygi, kołyszące się nad nią w powietrzu.

Na chwilę zamilkło wszystko w jej sercu, jakby sobie coś nagle przypomniała, — przypomniała sobie słowa matuli: aby cię ino Bóg nie pokarał, żeś o Nim zaboczyła.

— Pokarałeś mnie, Jezusińku, pokarałeś mnie, — wybuchnęła płaczem gwałtownym, zrywającym jej piersi.

Tak jej było żal teraz, tak żal, że zapomniała o Nim, który tak litościwie w swojem opuszczeniu spoglądał z góry ku niej.

Wiatr, zawiewając od chaty gospodarskiej, doniósł tony harmoniki i gwarne głosy i zmącił je razem z łkaniem dziewczyny.

— Pokarałeś mnie, Jezusińku, pokarałeś mnie.

Zamiast iść do chaty potem, poszła na pole, uwiła z bławatków koronki cztery i powiesiła je na krzyżu: po jednej na każdem ramieniu krzyża, jednę nad głową Chrystusa, jednę pod jego stopami.

Na bławatkach drzały jeszcze krople rosy świeżej, a gdy wiła z nich koronki, padła między nie i łza niejedna, — i błyszczały potem na krzyżu jeszcze długo w słońcu porannem krople rosy i łzy.

w kąpieli przez wroga. Nadzy wojownicy wspinają się na brzeg, szukają odzieży i broni, z nerwowym pospiechem kryją swe kształty w rozrzuconych ubiorach, a przecież mimo całej drastyczności tematu, nie ma tam ani jednego momentu gminności, ani jednego rysu trywialnego komizmu. Duch odrodzenia wyszlachetnił obraz, duch klasycyzmu dostroił grę Modrzejewskiej do klasycznego dramatu, ujmując w karby namiętność, i spienione gniewu konwulsye w grom koturnowy zmieniając. Nie przeczę, że w nowoczesnej komedyi, zbudowanej według realistycznych prawideł, — komedyi, zrywającym z klasycznym konwenansem w formie i treści, takie pojmowanie sztuki mogłoby zatrzeć indywidualizm autorski i w fałszywe blaski ubrać utwór cały, ale równem wypaczeniem literackiego charakteru dramatycznej kreacyi byłoby wprowadzenia do obrazu szkockiej królowy naturalistycznych momentów.

Daleki od ślego pietyzmu dla narodowych wielkości uznaję w Helenie Modrzejewskiej najszlachetniejszą reprezentantkę klasycznego repertuaru i wśród gwiazd scenicznych Europy napróżno szukam potężniejszej, napróżno równie potężnej Schillerowskiej Maryi. Adela Ristori nie wzniosła się na wyżyny polskiej bohaterki. I chwilami zdawało mi się nawet, gdy w wieczór poniedziałkowy mistrz nowoczesny Sudermann przemawiał do nas ze sceny, że ta wielka artystka posiada prześliczny talent metamorfozy, że umie jednem „Stań się" potargać więzy klasycyzmu, i wcieliwszy się w Magdalenę Schwartze, być niezrównaną tłomaczką nowych prądów, przedstawicielką scenicznego realizmu à la Eleonora Duse. Chwilami... tak! Były momenty w grze pani Modrzejewskiej o porywającej prawdzie i piękności, — był taki moment w chwilach rzewnej zadumy, gdy nagle wspomnienia jak dźwięk kołysanki, słyszanej w dzieciństwie, lub baśń czarodziejska, którą piastunka do snu ją niańczyła, w duszy jej śpiewały. I potężną była Helena Modrzejewska w chwili, gdy pastorowi tłomaczy wszystko, co parło ją wyżej i wyżej ku szczytom i blaskom słonecznym, a z ust jej pada jak wielka, niewyjaśniona tajemnica słowo zagadkowe: Wina! „Winnymi stać się musimy, jeżeli wznieść się i uróść pragniemy." A potem ta scena z ojcem, ta gama uczuć różnorodnych, gdzie serdeczna miłość i nieubłagana duma kobiety, zawdzięczającej wszystko sobie i tylko sobie, mienią się jak barwy w kalejdoskopie, — ileż tam było prawdy i porywającej poezyi. A jednak, sumując wrażenia moje, znalazłem jakieś tchnienie zaćmiewające mi tę postać wykąpaną w artystycznym cygaństwie, której burze targały splotami włosów złocistych i pierś rozpierała namiętność, tę naturę dziką i nieokiełznaną, miotającą się w klatce ojcowskiej jak tygrysica dzika i drażniona, te brutalne instynkty, spragnione kruszyć, deptać i śpiewem mordować („niedersingen"), ten wstręt do nizkiej pruderyi i małomieszczańskiej ciasnoty, ten jaskrawy koloryt cyganki, dla której hotel, wagon i scena są domem mieszkalnym. Wielka przedstawicielka scenicznego klasycyzmu wypięknił postać Magdaleny i pewne rysy jej indywidualizmu osłoniła gazą błękitną. Jeden tylko szczegół przypomnę, — ostatnią scenę między Kellerem a bohaterką sztuki. Chwila ta żywo została w pamięci mojej od czasu występów pani *Ludowej*. Gdy wstrętny karyerowicz ofiaruje rękę śpiewaczce za cenę porzucenia nieprawego dziecka, wtedy warszawska artystka zmienia się w samicę. Jej krzyk: „*Mio caro, mio bambino*", to nie liryzm serdeczny, lecz jakiś strach przeraźliwy, a potem wrzask nieludzki, graniczący z furyą zwierzęcą, gdy drzwi rozdziera i zgrzyta: „Precz! Precz! Tam!" W chwili tej miota się pani Ludowa po scenie, dobierając w ruchach, mimice i głosie najjaskrawszych kolorów, — pani Modrzejewska natomiast barwy tu łagodzi: zrazu szept rzewny macierzyńskiej pieszczoty, a potem więcej protest dumy obrażonej, niż drapieżna wściekłość lwicy, której młode wydarto. Magdalena gościa naszego jest bezwarunkowo artystyczną kreacyą, ale indywidualizm Heleny Modrzejewskiej, wykarmiony inną tradycyą, obniża niekiedy o pół tonu brutalniejsze akcenty wbrew intencyom autora.

O „*Adriennie Lecouvreur*" w niezrównanej interpretacyi wielkiej artystki pisałem przed kilku laty na innem miejscu. Tu powiem tylko, że gość nasz słynny, mimo chwilowej niedyspozycyi, zachwycał wdziękiem rokokowym, którego cechy stylowe giną niestety na scenach europejskich. Mimowoli przypominały mi się Dzieje rewolucyi Hipolita Taine'a i słowo Talleyranda, że „kto tych czasów nie poznał, ten nie wie, jaką może być w życiu swoboda i szczęśliwość." Ale ram rokokowych szukałem napróżno na ubogiej scenie poznańskiej. Ani nici złotych i srebrnych rozsutych na sufitach i ścianach, ani kapryśnej fantazyi w ornamentyce, ani stylu w meblach; nie powstało przed okiem mojem to potępione a jednak tak piękne *rococo* i musiałem w myśli tworzyć sobie tło charakterystyczne dla tych peruk i pończoch i ludzi, — musiałem przypominać sobie komnaty poczdamskiego zamku z obrazami Watteau i Bouchera, i tem rozkosznem dziwactwem w każdem cacku, każdym sprzęcie, każdej arabesce. Biedna scena! W ubogich ramach jednak niekiedy piękne spotykam obrazy, — wśród ludzi zaludniających deski, „które świat oznaczają" talenty wielkie i wielką przyszłość wróżące. Dziś wymieniam tylko jedno nazwisko: *Sosnowski.* Po świetnych kreacyach Zygmunta, Mortimera i księcia w Adriennie jestem o jutro młodego artysty spokojny. Lękam się tylko, że jutra tego święcić nie będzie na poznańskiej scenie.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(„*Kuryer w wojnie z kobietami. — Nawróceni. — Warchoł w spódnicy. — Gwałtu co się dzieje. — W obronie Wielkopolanek.*)

Reprezentant średniowieczyzny na poznańskim bruku, wiecznie zadąsany na „Masonów", liberałów i patryotów „Kuryer poznański", raczył w bieżącym tygodniu zainteresować się dwukrotnie piękniejszą połową rodzaju ludzkiego. Nie chodzi tu bynajmniej o tę zachwycającą cząstkę publiczuości naszej, która pieczętuje się herbem „ładu i porządku" — o! nie! o takiej połowie bowiem mówi się więcej jak „piękna", mówi się wielka, mądra, święta itd. — tu temat skromniejszy wyłonił się z „Kuryerowego" kałamarza, a imię jego „Puch marny". Nie sądźcie jednak, wielkopolskie panie, że to jeden z nadwornych poetów „ładu i porządku" wyśpiewał tam sonet o „słodkich niebiankach i raju mieszkankach", — nie! zebrało się „Kuryerowi" na wojnę z kobietami i palnął im dwa kazania: jedno o moralności, drugie o „politycznej dojrzałości". Trzeba wam bowiem wiedzieć, że jest pewna kategorya ludzi, którzy po rozmaitych „*ten... tego...*" w życiu, po czarujących szumkach i dumkach, gorących westchnieniach i gorętszych jeszcze pieszczotach rozpoczynają komiwojażerswo najczystszej „cnoty". Za młodu żyli — jak mówi Magdalena w „Gnieździe rodzinnem" — życiem pełnem i bujnem, pijąc do dna kielich rozkoszy, — Epikureje w czynie i teoryi. A potem nagle, jak ów Keller z Sudermanowskiego dramatu — „J u n g B i s m ä r k e r" nazwał go jeden z krytyków berlińskich — zakładają en gros i en detail handel pruderyi, a w dodatku może dla karyery w konsystorskie wstępują podwoje. Podobni oni do pewnego typu bigotek, których młodość była jak szampan. Z kryształowej czary piły szał i rozkosz, drwiąc z konwenansu i pojmując życie jak greckie poganki, a gdy włos bieleje i przesyt w duszy zagości, wtedy korzą się przed krzyżem, odprawiają nowenny, pisują listy do św. Józefa i rumienią się,... rumienią, gdy ktoś w salonie powie n. p. „koszula".

I zarumienił się „Kuryer poznański", gdy oko jego spostrzegło girlandę panien poznańskich, podziwiających grę Modrzejewskiej w roli Magdaleny z „Gniazda rodzinnego". Biedne dziewczęta popełniły istotnie przerażającą zbrodnię. Ujrzały kobietę, która rzuciła duszną cytadelę ojcowską, a pnąc się wyżej i wyżej ku słońcu, na stromej drodze spotkała różę miłości i wonią jej odurzona — upadła. Na szarym widnokręgu był to jedyny płatek błękitu, więc ręce ku niemu wyciągła, a potem dziecię swoje tak ukochała gorąco, że nawet kosztem życia ojcowskiego jak tygrysica je strzegła. Ha! być może, że widok takiego potworu gotów poplamić anielskie dusze niewiniątek naszych, ale w takim razie, moi panowie, bądźcie przynajmniej konsekwentni i nie drukujcie w dziennikach waszych „pikantnych" referatów z sensacyjnych procesów, gdzie gwałt przy pomocy hypnotyzmu, manie erotyczne, „Lustmordy" i tym podobne nadzwyczajności ulegają drobiazgowej analizie. A kto wie, może to nie poczucie moralności sfarbowało rumieńcem „Kuryerowe" oblicze, lecz gniew straszny na s u i g e n e r i s „warchoła" w spódnicy. Ta Magdalena bowiem z Sudermannowskiego dramatu to także w swoim rodzaju wróg „ładu i porządku" — harda dusza zbuntowana przeciw komendzie z a p l e ś n i a ł e g o s t a r c a — umysł samodzielny, któremu za ciasno w ramach filisteryi małomieszczańskiej. Nie dziw więc, że zatrwożył się „Kuryer Pozn." i tysiące przeczuć posępnych sfałdowało czoło mamutów. A nuż piękne Wielkopolanki pod wpływem Magdaleny zwrócą się ku potępionej lewicy i i w „młodopolskim" obozie ramię przy ramieniu staną do walki z ciemnotą, obłudą i hyperlojalizmem lodowym. Na dalekim horyzoncie ukazują się jakieś chmurki zatrważające... coś niby pierwociny sojuszu. Cóż to? Wielkopolanki wlokące lat tyle jarzmo „Kuryera" i „Dziennika", — Wielkopolanki, którym bezustannie krzyczano, gwizdano i śpiewano w uszy, że poza próg domowego ogniska wychylać im głowy nie wolno, — Wielkopolanki, którym nucono basem i dyszkantem o Westalkach, kapłankach, żonach i matkach, aby tylko zatamować emancypacyjne zakusy i sparaliżować ich udział w społeczno-politycznem działaniu — te ciche, pokorne jagnięta, wychowywane według słów Magdaleny „do haremów i klasztorów", haftujące monogramy, szyjące bluzki, flirtujące, tańczące, plotkujące, — te małoletnie istoty zrywają się do energicznej akcyi publicznej, i, żądając prawa głosu w życiu społecznym, proklamują żałobę narodową, nie jako cacka salonowe, lecz jako gorące i uspołecznione Polki-obywatelki, — gwałtu! co się dzieje! „Kuryer" spazmów dostaje. Dzięki jednak bliskim stosunkom z poznańskimi Eskulapami oprzytomniał nieborak i, lokując ciężar ciała swojego na Pityjskim trójnogu, jak grom zahuczał nad głowami szlachetnych patryotek.

Czarujący zaiste ten dźwięk gromowy „ładu i porządku." Przedewszystkiem dowiaduje się naród, że Grono Wielkopolanek ogłosiło odezwę w celach propagandy „demonstracyjnej żałoby", — następnie otrzymuje trzysta rózg dziennikarskich „polityczna niedojrzałość" autorek, a w końcu brzmi jak trąba ostateczna akord finałowy: „Wara kobietom od polityki!" Stało się! Ale niech was to, panie moje, nie przeraża. Mnie n. p. „Kuryer" już dwa razy wyklął, a z pięćdziesiąt razy przynajmniej drzazgi wbijał za paznogcie. Mimo to jednak miewam się wcale nie źle, humoru nie tracę, a w dodatku tyję — z czego, mówiąc mimochodem, wcale nie jestem zadowolony, bo takie pokłady tłuszczu to śmiertelna rana dla pretensyonalnych młodzieńców. Pozwólcie jednak, że chociaż w dwóch słowach skruszę za was kopję z niefortunnym krytykiem „Kuryerowym" i w pierwszej linii zapytać go się ośmielę. według jakiego paragrafu Stańczykowskiego kodeksu skreślenie balów *publicznych* z programu żałobnego roku, zyskuje piętno *demonstracyjnej* żałoby. Czyż rezygnacya z kilku *„pas"* mazurowych na sali bazarowej jest prowokacyą wrogów naszych? Czyż zaniechanie hulanki na rok jeden jest politycznym wybrykiem i „chorągiewkowym" akcentem? Czy potępialiście Czechów za grzeszną demonstracyę

gdy przez kilka lat nie nosili glansowanych rękawiczek, aby za grosz oszczędzony „Divadlo“ zbudować? A jeżeli mówicie, że rezygnacya czeska wydała owoc realny: *teatr narodowy*, — to z czystem sumieniem powiem ci, tańcząco gromado, że i naszą rezygnacyę podobny uwieńczy rezultat, a gdyby przeczucia moje spełnić się nie miały, to z rezygnacyi tej bądź co bądź popłyną idealne odsetki, których lekceważyć nie wolno.

I jakiem prawem odezwę Wielkopolanek piętnujecie mianem „niedojrzałości politycznej“, skoro w jej treści i formie razić chyba mogła niedostateczna energia i brak ścisłości w określeniu postulatów, ale nigdy brak umiarkowania. Dźwięczała tam jedynie rzewna melodya żalu za utraconą ojczyznę i poważna prośba o ciszę żałobną jak na sieroty przystoi. Ten polityczny występ „Wielkopolanek“ to jeden z najpiękniejszych momentów życia naszego, bo oto! nowa armia wstępuje w szranki publicznego życia i już nie bawidełka, nie kwiaty wonne znajdujemy przy ognisku domowem, lecz przyjaciółki i sojuszniczce mężczyzny. W narodach silnych mężczyźni sami dźwigać mogą na barkach swoich obowiązki społeczne, ale nas garstka tylko a wróg potężny jak hufce Kserksesowe. Tu rąk zakładać niewolno, a gdy szaniec po szańcu pada pod naciskiem stosunków, gdy ród męzki zmęczone ręce zakłada apatycznie lub w prądach lodowych szuka ocalenia, wtedy jak Cimbrów i Teutonów niewiasty kobieta-Polka staje na fortecznym wale. Cześć jej zato! Uspołecznienie kobiety pozostaje nieodzownym postulatem narodowego życia.

Sulla.

ECHA POZNAŃSKIE.

(P. Modrzejewska. — Rozmowa z p. Onufrym. — Mój pseudonim. — Djabeł krakowski i djabeł poznański.)

— Modrzejewska przyjechała!
— Modrzejewska była dziś w teatrze.
— Czy masz już bilet na występy Modrzejewskiej?

Modrzejewska!... Oto nazwisko, które z ust do ust przebiega, oto wróżka, która oczarowała wszystkie umysły, a różdżką jej czarodziejską było żywe słowo.

Ach otóż i pan Onufry! Od przedstawienia „Biednej dziewczyny“ nie widziałem go w naszym grodzie.

— Wiemy, wiemy, co pana dobrodzieja sprowadza w mury miasta, cherchez la femme!

— Zgadłeś pan! tak, to O n a. Bilety zamówiłem telegraficznie, a pan szanowny już temperuje pióro?!

— Nie mojem zadaniem oceniać, o ile pięknem jest słońce i co mu zawdzięczamy, i nie ja będę tym wybrańcem, który odda hołd geniuszowi.

— Dalipan! ładnie pan powiedziałeś.

— To też wolno mi tylko mówić, pisać będzie kto inny.

— Rozumiem... niby fachowiec, którego nazwisko jako znane...

— Daruje pan Dobrodziej, ale czuję się obrażonym, ponieważ moje nazwisko, którym pieczętuję „Echa“, nietylko jest znanem pani Modrzejewskiej, ale nawet bywało po kilkanaście razy dziennie na jej ustach.

— Jakto? Ej! Kochany pan pozwala sobie robić reklamę dzięki obecności wielkiej artystki.

— Nie, mój łaskawco. Pani Modrzejewska miała olbrzymiego psa, który zwał się Ortog, był wiernym, łagodnym, a zginął od żądła jadowitego węża w Kalifornii.

— W każdym razie przyznaj pan, że to, co mówisz dzisiaj, okropnie pachnie reklamką dla siebie.

— Odpowiem zapytaniem: Czy pani Modrzejewska reklamy potrzebuje?

— Z pewnością, że nie.

— A jednak w Ameryce jedno *M* afiszowe w wyrazie Modrzejewska było tak wielkie jak brama polskiego teatru.

— Pan daruje, ale ja tam nie byłem.

— A czy kochany pan był przy śmierci Wallensteina?

— Cóż za porównanie?

— Bardzo dobre, tłomaczy bowiem, że czasem trzeba wierzyć na słowo, i że Ortog z Kalifornii i wielkie *M* nie są bajką z tysiąca i jednej nocy.

— Tak, ale nie tłomaczy mi, dlaczego pan nazwałeś się Ortogiem.

Ortog jest wyrazem węgierskim i oznacza „djabeł“, ja zaś okrutnie radbym zostać djabłem i zakwaterować się u Belzebuba, bo tam mają mnóstwo znakomitych ludzi: mędrców, filozofów, dyplomatów, artystow, jednem słowem śmietankę inteligencyi. Przytem, widzi pan, djabeł ma zupełnie inne przywileje, a jaką jest jego potęga, masz pan najlepszy dowód na krakowskim „Djable“.

— Dalibóg! nie wiem.

— A więc zapytaj się pan „Djabła poznańskiego“, który się ukazał we fraczku zapożyczonym u krakowskiego kolegi. Sądziłem zrazu, że ogoniasty i pazurzysty Krakowiak przejechał żywcem przez Mysłowice, dopiero zbliska przyjrzawszy się, poznałem, że frak pożyczany.

— Nie rozumiem pana.

— Nic dziwnego, boś pan nie widział pierwszego numeru pisma humorystycznego, które nietylko, że nosi tytuł „Djabła“, ale nawet postać jego i suknie, to jest winietę, format i t. d.

— Więc jak mam rozumieć pański pseudonim? Jesteś psem, czy djabłem?

— Pragnę być wiernym moim przekonaniom jak pies — pokazać zęby jak on w obronie swojej własności i honoru, a gdyby się znalazła jaka piękna Ewa...

— To będziesz pan szatanem w postaci węża biblijnego.

— Może! ale jako djabeł dobrze wychowany, zapukam do serca bez pożyczanych rękawiczek.

Ortog.

WOLNE GŁOSY.

Oświadczenie
w sprawie
Wydawnictwa dobrych i tanich książek Imienia śp. Ks. Franciszka Bażyńskiego.

Wydawnictwo ś. p. Ks. Franciszka Bażyńskiego jest własnością prywatną, tak jak od samego początku istnienia swego było wyłączną osobistą własnością ś. p. Ks Bażyńskiego.

Nie odebrawszy nigdy wsparcia materyalnego, czy to od społeczeństwa, czy od osób prywatnych, nie ma Wydawnictwo obowiązku składania publicznego sprawozdania ze swej czynności; zabierając dzisiaj pomimo to, jako jedyny obecnie właściciel Wydawnictwa, głos publiczny w sprawie jego, czynię to na życzenie pani prof. Romany Rzepeckiej i rodziny ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego.

Zostawszy w roku 1875ym jednym z trzech współwłaścicieli Wydawnictwa żyjącego jeszcze wówczas Ks. Fr. Bażyńskiego, ś. p. dr. Ludwik Rzepecki zarządzał niem do końca życia, t. j. przez lat 18cie. Przez czas zarządu tego:

1. Wydrukował nakładem Wydawnictwa 162 tysięcy książek, z których rozeszło się między lud do dnia dzisiejszego 134 tysięcy.

2. Opłacił długi, jakie ciężyły na Wydawnictwie w końcu 1875go (około trzech tysięcy marek), przysporzył mu 53 nowych dziełek, i zostawił 31 tysięcy książek stanowiących obecnie majątek Wydawnictwa.

3. Ś. p. dr. Ludwik Rzepecki wykonał ściśle zobowiązanie jakie współwłaściciele w r. 1875 względem samych siebie byli przyjęli i jakie wyrazili w słowach: „Dochody bowiem i wszelkie nawet czyste zyski obracane być mają wyłącznie na utrzymanie, podniesienie i rozszerzenie księgarni, a zwłaszcza na nowe nakłady w gatunku dzieł obecnie w niej zawartych.

4. Ś. p. dr. Ludwik Rzepecki nietylko, tak jak jego wspólnicy, nie brał z Wydawnictwa żadnych osobistych zysków, lecz przez lat 18 kładł w nie bezinteresownie czas i umiejętność, ofiarował Wydawnictwu kilka dziełek przez siebie napisanych, a w ostatnich latach podtrzymywał filantropijną instytucyę przez prywatną ofiarę pieniężną dochodzącą do sumy kilku tysięcy marek.

Do twierdzeń powyższych upoważniają mnie znajomość rozwoju Wydawnictwa, którego od lat 18stu jestem współwłaścicielem, oraz rachunki złożone mi przez rodzinę ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego, skontrolowane przezemnie, syna mego i niżej podpisaną obywatelską Komisyę rewizyjną.

Oddając w ten sposób publiczne świadectwo zasługom, jakie ś. p. dr. Ludwik Rzepecki położył dla Wydawnictwa Imienia Ks. Franciszka Bażyńskiego, czynię zadość memu obowiązkowi względem zmarłego Kierownika tego pożytecznego dzieła.

Władysław Simon.
Jedyny dzisiaj właściciel Wydawnictwa Imienia ś. p. Ks. Fr. Bażyńskiego.

Przekonawszy się o prawdziwości twierdzeń, zawartych w powyższem Oświadczeniu, stwierdzamy je naszem świadectwem:

K. Kozłowski. W. Sokołowski. Fr. Chocieszyński.
Wojciech Łukasz Simon.
Dr. Celichowski (Kórnik, 13. I. 95.)
Poznań. dnia 12go Stycznia 1895.

KRONIKA LITERACKA.

„Dusza obca“. L'âme étrangère „Dusza obca!“ — taki jest tytuł fragmentu pośmiertnego Guy de Maupassant'a. Tylko dwadzieścia stronnic obejmuje początek tego romansu, zaledwie znajdujemy tu ekspozycyę utworu, starczy to jednak, aby czytelnik doznał silnego wrażenia prawdy życiowej, z jaką nieszczęśliwy, wielki autor umiał obrazy swoje malować.... Rzecz dzieje się w salonie hotelowym jednego z miast kąpielowych. Dwóch paryżan rozmawia ze sobą. Dwudziestu zdań z sobą nie zamienili, a znamy już ich charakter. Jeden z nich opowiada swoją historyę, swój stosunek w półświatku i zerwanie. Widzimy jakby w rzeczywistości całą treść takiego życia.... Tymczasem tłum napełnia sale kasyna; coraz więcej spostrzegamy kobiet pięknych, z różnych okolic świata: są tu amerykanki, markizy włoskie, angielki, rumunki. Parę słów się odezwały, a poznaliśmy je jak najlepiej, Towarzystwo to zupełnie kosmopolityczne, banalne i wykwintne jednocześnie, arystokratyczne, malownicze i monotonne. Oczy tych kobiet patrzą na ciebie niebieskiemi oczami północy wraz z całym chłodem północnego nieba; oczami wschodu zadumanemi i nieprzeniknętemi. Uśmiechy drżą na tych ustach delikatnych lub zmysłowych. Słyszymy westchnienia, głosy, przeczuwamy przyzwyczajenia, obyczaje, tkliwość i obojętność różnych tych kobiet. Cały dramat namiętności przesuwa się przed naszemi oczami.

I nic więcej!

Los wytrącił z rąk pisarza pióro — i świetnie rozpoczęte dzieło nagle się urywa.

Zamykamy książkę i smutek ściska nam serce. Przypominamy sobie, jak w ostatnich miesiącach swego życia. Maupassant ustawicznie wołał o niedokończony rękopis. O tej to „Duszy obcej“, zapewne majaczyła zaćmiona wieczną nocą myśl jego!...

Smutek nasz powiększa się jeszcze, gdy myślimy o młodości Maupassanta, o jego dzielnej bohaterskiej postaci, o jego umyśle bystrym i niepodległym.

Czytając „Duszę obcą“, wydaje się nam, że postacie te żyją realnem życiem i w takich samych właśnie warunkach. Ani na chwilę o tem nie wątpimy.

Ponad tym niepospolitym fragmentem unosi się przewodnia myśl autora. Dwoje ludzi, dwa jestestwa, żyją z sobą, kochają się — a zawsze pomiędzy nimi staje niezwalczona potęga dziedziczności rasy. Jeden wyraz, wypowiedziany przez dwoje ust: kobiety i mężczyzny, brzmi jednakowo, lecz jakże się głęboko różni w dwóch tych dźwiękach. Te identyczne słowa nie wyrażają tych samych uczuć. I to stanowi wieczny ból, który sprawia, że najbardziej połączone serca będą zawsze nie jednem, ale dwoma sercami, oddzielonemi od siebie na wieki.

Tak maluje swoje wrażenie po przeczytaniu pośmiertnego fragmentu Guy de Maupassant'a — Paweł Bourget.

* * *

Alfred Nossig. Szkice artystyczne z Wiednia. Warszawa 1894.

Są to, ile wiadomo, listy pisane z Wiednia do „Kuryera Warszawskiego“. Jest tych listów sześć, w których mieści się omówienie architektury, malarstwa i rzeźby wiedeńskiej, oraz krótki rys opisowy polskiej kolonii artystycznej we Wiedniu. Charakter tych listów jest raczej informacyjny, niż naukowy. Jest to rodzaj przewodnika artystycznego, którego w żaden sposób uważać nie wolno za pracę samodzielną i teoretyczną. Listy te, stosownie do swego przeznaczenia, pisane są gładko i potoczyście, a nawet w kwestyach ciężkich z natury i zawiłych nic na łatwości swej nie tracą, a na głębszem traktowaniu nic stracić nie mogą dlatego, że go nie mają.

* * *

O wydanym nakładem „Przegląd Pozn.“ utworze Brandesa p. t. „*Uczucie narodowe*“ wyraża się „Kraj“ petersburski w sposób następujący:

„Jest to mowa, wygłoszona przez Brandesa przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze. Autor poddaje silnej krytyce nietylko stosunki istniejące w Danii, ale i stan umysłów. Jeżeli Dania „gaśnie“, te składają się na to wielorakie przyczyny. Kiedy inne państwa skandynawskie dają znaki życia, zmuszając Europę do zajmowania się niemi, w Danii jakoby wszystko obumierało. Norwegia n. p. zwraca uwagę Europy nietylko na swoje znakomitsze, ale nawet na mniej znakomite talenty i wpada nawet w przesadę chwalenia ich przed sobą i przed innymi, w Danii natomiast każdy talent ma przeciw sobie własnych ziomków, którzy go sami poniżają przed Europą. Danią nie rządzi ani arystokracya, ani demokracya, ani gerontokracya — są to rządy starych i młodych starców. Nie ma opinii, a, co za tem idzie, występuje zatrata charakterów. Ludzie talentów dla miłego chleba uchylają pokornie głowę przed luminarzami z pod ciemnej gwiazdy, dziennikarze sprzedają swe przekonania temu, co większą ofiaruje cenę. Brak młodemu pokoleniu uczucia narodowego — socyaliści zarażeni są kosmopolityzmem. Kultura upada, bo niema mecenasów, ani literatury, ani sztuki. A przecież Dania ma ludzi talentu, tylko nikt ich w krajn nie popiera, nikt po za krajem nie reklamuje. Każdą z tych uwag popiera Brandes dowodami, lub też obszerniej motywuje. Tłomaczenie tej mowy ma u nas racyę bytu, bo niejedna uwaga da się zastosować do naszych stosunków, niejedna wada duńska jest i wadą naszą. Przekład odznacza się starannością i jędrnym językiem.

* * *

Teofil Lenartowicz. Wybór poezyi. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego r. 1895, str. 354.

Serdeczny lirnik mazowiecki zasługuje na to, aby zebrano i wydano całą po nim pozostałą spuściznę. Jest wprawdzie pewna garstka krytyków, która z pobłażliwością traktuje utwory autora „Lirenki“, ale na większą litość zasługuje ona sama. Dziwnem to żądać od poety, ażeby był takim, jak się komuś podoba. Można zarówno przypatrywać się orłom, bujającym w nadpowietrznych szlakach, jak przysłuchiwać się śpiewom słowika. Lenartowicz śpiewał pięknie i czule, po co więc miał przypinać skrzydła orle? Niesprawiedliwej z gruntu oceny jego utworów przez różne tuzinkowe wielkości przyczyna leży w tem głównie, że L. zbyt mało jest czytany, jak wogóle, z wyjątkiem trzech największych, wszyscy poeci naszej wielkiej plejady. Kto jednak zajrzy do tych „zapomnianych“, ten znajdzie i pierwszorzędne piękności i pokarm dla serc i ducha. A Lenartowicz nietylko nie był pomiędzy nimi ostatni, ale przewyższał ich oryginalnością; sam nie naśladował i naśladować go nie można. Jego poezye to może nie brylanty, ale z pewnością perełki czystej wody. Nikt tak prostemi środkami nie umiał tak do głębi poruszyć. Im więcej oddalać się od niego będziemy, tem więcej rość będzie czar jego poezyi, raz smętnej i łzawej, to znów serdecznej i wesołej, podobnej do dumek i szumek małoruskich. Więc dobrze i bardzo nawet dobrze się stało, że wydano ten wybór jego utworów. Niech przypomną one ogółowi śpiewaka, co wiele czuł i umiał grać mistrzowsko na swojej skromnej lirence. Wydawcy należy się podziękowanie i za szatę, w jaką przyodział ten zbiorek. Jest to śliczne wydanie miniaturowe, ozdobione wybornie wykonanym portretem Lenartowicza. Całą wadą wydania jest brak w niem patryotycznych utworów, ale temu winna tylko najszczersza nasza przyjaciółka, cenzura rosyjska. *K. B.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Do numeru dzisiejszego dołączamy prospekt Spółki wydawniczej Polskiej w Krakowie, polecającej swoją „Nową bibliotekę uniwersalną“ wydawaną nakładem własnem.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezydent Francyi, Casimir-Perier ustąpił. W miejsce jego wybrano Feliksa Faure. — Układy pokojowe między Chinami a Japonią toczą się wolno. W armii chińskiej panuje najwyższa bezradność. — Ambasadorem rosyjskim w Berlinie zamianowanował car Mikołaj ks. Łobanowa. — W etacie pruskim na rok 1895 i 96, przedłożonym w izbie deputowanych, obliczono dochody na 1,865,173,495 mr., rozchody bieżące na 1,837,214,103 mr., jednorazowe i nadzwyczajne na 62,559,394 mr., razem 1,899,473,497 mr. mr. Niedobór w sumie 34,300,000 mr. pokryje pożyczka. — Gabinet argentyński podał się do dymisyi. — W parlamencie niemieckim przemawiał poseł Stefan Cegielski przy obradach nad interpelacyą w sprawie izb przemysłowych i rzemieślniczych. Mówca żądał mianowicie zaprowadzenia „wykazu uzdolnienia“ Poseł Hektor Kwilecki poparł w krótkiem przemówieniu wniosek stronnictwa centrum o zniesienie banicyi Jezuitów.

Teatr i muzyka. Znana artystka warszawskich teatrów, pani Lüde, zaślubiła artystę-malarza Żmurkę. — Pani Modrzejewska po krótkiej niedyspozycyi powróciła do zdrowia i zamierza przedłużyć pobyt swój na poznańskiej scenie. — W czasie występów pani Modrzejewskiej w teatrze poznańskim kilku artystów miejscowych zjednało sobie wybitne uznanie publiczności. O p. Sosnowskim piszemy na innem miejscu, tu zaś podnosimy z uznaniem grę pani Królikowskiej w roli królowej Bony w dramacie „Barbara Radziwiłłówna“ oraz grę panny Wróblewskiej w roli księżnej z Adrienny Lecouvreur i pana Jakubowskiego w Fedorze. Mniej za to powiodła się pannie Wróblewskiej rola Elżbiety, traktowana bez należytej dystynkcyi i wyniosłości, a wręcz okropnym był lord Burleigh pana Królikowskiego w Maryi Stuart. Niefortunny ten występ powetował artysta świetną grą w roli pułkownika Schwartze w „Gnieździe rodzinnem.“ Kasa teatralna jest w bezustannem oblężeniu. — Na niemieckiej scenie w Poznaniu występuje obecnie słynna artystka niemiecka Barkany. Dotychczas ukazała się publiczności w Frou-Frou i Adriennie Lecouvreur. — Na sali bazarowej w Poznaniu odbył się w środę ubiegłą koncert amatorski na cele dobroczynne. Technicznie wykończony śpiew panny E. zjednał sobie uznanie znawców muzycznych, a niezwykle dźwięczny i sympatyczny głos pani mecenasowej P. skłonił również publiczność do frenetycznych oklasków. Gra na fortepianie pani K. zdradzała wielką rutynę i sporo czucia muzycznego. Wreszcie piękną i silną deklamacyę „Muzyki Jankiela“ wygłoszoną przez dr. K. nagrodzili licznie zgromadzeni widzowie głośnem uznaniem. Na koncercie obecną była Helena Modrzejewska. — Umarła we Lwowie, Julia Piasecka, sympatyczna artystka operetkowa i wodewilowa. — Autor „Jakóba Warki“ p. Daniel Zgliński napisał jednoaktową komedyą p. t. „Rada familijna.“ — Na deskach Wielkiego teatru w Warszawie wznowiono słynny melodramat Suego p. t. „Żyd, wieczny tułacz.“ — W lwowskiej operze występuje jako gość Józefa Carnioli. — Doniesienia z New-Jorku przynoszą bardzo pochlebne wieści o udziale artystów polskich w operze newyorskiej. Z pośród męzkiego personału śpiewaczego w „Metropolitan Opera House“. w sezonie bieżącym wyróżniani są ogólnie nasi Reszkowie i pan Grąbczewski, a pomiędzy primadonnami tej miary co Melba, Sanderson, Nordica Schalchi, sprawozdawcy muzyczni prasy amerykańskiej niepoślednie miejsce wyznaczają znanej dobrze z sympatyi pozyskanych w Warszawie, Mirze Hellerównie. Między innemi „New-York Tribune“ pisze: „Młoda artystka, wyróżniając się już samą powierzchnością, jest obdarzona w sposób niezwykły przymiotami, które składają się na wytworzenie prawdziwej artystki. Jest ona nadobną, sympatyczną, poważną i inteligentną. Przymioty odzwierciadlają się i w samym głosie.“

Z teki aforyzmów
Jerzego Płońskiego.

Oczerniać charakter kobiecy jest przywilejem mężczyzn. Kobieta, uzurpująca sobie ten przywilej, nie czyni ujmy płci swej, lecz tylko sobie. Nie ma bowiem tak źle o kobietach myślącego mężczyzny, któremuby źle myśląca kobieta nie urwała listka z drzewa przyrodzonej iluzyi.

—

Z czem większą goryczą mówi mężczyzna o kobietach, tem goręcej pragnie miłości. Wrażliwe kobiety odczuwają to i nietylko się wzbraniają brać wycieczki jego na seryo, ale przepadają za solą atycką — jeżeli sympatycznym jest im krytyk.

—

Skromności w sądzie o sobie najlepszą formą jest oczernianie samego siebie. Wszystkie inne formy zużyły się. Ludzie dają wiarę oczernianiu o tyle tylko, o ile im przyjemnie delektować się własną doskonałością, występującą plastycznie na efektownem tle.

—

Ludzie nie lubią dobrych, ale ich chwalą.

BIBLIOGRAFJA.

Wojciech Dzieduszycki. Święty Ptak. Powieść historyczna. Lwów 1895.

Leonard Lepszy. Wspomnienia artysty. Kraków 1895. Cena 3 mk.

Bolesław Prus. Opowiadania wieczorne. Warszawa 1895. Cena 3,75 mk.

Fr. Rawita. Racławice. Powieść historyczna. Lwów 1895. Cena 4,20 mk.

Fr. Rawita. Warszawa. Opowiadanie na tle dziejowem. Lwów 1895 Cena 4,20 mk.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mel. Numerów tych już nie posiadamy. — „Przegląd Poznański“ kalendarza swojego nakładu nie wydał.

Rt. Prosimy o nadesłanie utworu. O przyjęciu bez przeczytania rozstrzygnąć nie możemy.

E. K. Pani Modrzejewska wystąpi prawdopodobnie jeszcze raz jeden w „Gnieździe rodzinnem“ na poznańskiej scenie. Terminu oznaczyć nie możemy.

Perełka. Wyraz „pan“ jest prawdopodobnie obcego pochodzenia. W etymologii wyraz ten stanowi kwestyę sporną.

Od Redakcyi

W numerze bieżącym rozpoczynamy cyfrowanie stronnic w stałym ciągu. Pierwsza stronnica zatem nosi liczbę 25. W Nr. 2 bieżącego roku raczą czytelnicy, zbierający roczniki, cyfry odpowiednio pozmieniać.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.